



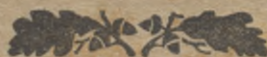
Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297698

FRANCISZEK JAWORSKI.

Królowie polscy we Lwowie.



Ludwik Ambroży

Myślenice

BIBLIOTEKA

Ludwika Ambrożego

No 17.

LWÓW 1906.

NAKŁADEM REDAKCJI „KURJERA LWOWSKIEGO“.



I.28.565



№ k. ... K-677/58



Na »szczęśliwy przyjazd Króla Jegomości« — na »tryumf szczęśliwego przyjazdu« — *ad iucundissimum et felicissimum adventum Regiae Maiestatis*« — na radość, na szczęście, na wszystkie tony głębokiego uczucia rozbrzmiewają stare księgi ratusza lwowskiego, ilekroć w mury miasta zawitać miał »Król Polski, Pan nasz miłościwy«. W takich chwilach suche i lapidarne zapiski, upstrzone cyframi wydatków, stają się nieledwie poematami. Dziwny, dzisiejszym pokoleniom niezupełnie już nawet zrozumiały entuzjazm bije pełną falą z cyfr owych i naiwnej stylizacji starych buchalterów miejskich. Tak się zdaje, jakby jakaś cząstka dużej radości, grzmiących okrzyków zaszuszyła się w księdze wiekowej żywcem, nawet z barwnym kolorytem dnia i epoki, z szumem uroku, który wiał po nad tłumy, czekające króla i szalejące z radości, gdy stopa jego dotknęła wreszcie ziemi »tego lwowskiego miasta«.

A w tych witalnych tryumfach nie odszukać by nawet podkładu dzisiejszych manifestacji lojalnych. Pominawszy styl, obyczaj epoki, kulturę, pominawszy już nawet fakt, że Lwowianie, wolnej Polski obywatele, nie z takim tęsknem rozrzewnieniem patrzyli na osobę współczesnego króla pol-

skiego, jak my dziś na jego wizerunek — to jednak witanie królów polskich we Lwowie miało pewne cechy obyczajowe, których dzisiejszym czasom na zawsze zda się zabraknie. Pewna familiarność obok surowego ceremoniału, poufały stosunek w zgodzie z pojęciem świętej powagi majestatu, głęboka i istotna cześć równocześnie z nieszczerą pompą frazesów, gotowość wreszcie do najszczytniejszych poświęceń, obok pilnego dopraszania się o łaskę i protekcję — wszystko to tworzy atmosferę oryginalnej, starej lojalności i stosunku poddanych do króla, który w dzisiejszych czasach nie znajdzie chyba porównania.

Od Kazimierza Wielkiego począwszy, wszyscy prawie królowie polscy byli we Lwowie, niektórzy nawet bardzo często i bardzo długo tutaj przebywali, dla spraw rządu i sądu, polityki, dla wojny, która ustawicznie prawie gorzała od wschodnich granic Rzeczypospolitej. Mimo to jednak każdy przyjazd królewski był dniem tryumfu dla Lwowa. Nabrzmiewają wtedy księgi rachunków miejskich niecodziennymi a hojnymi, czasem rozrzutnymi wydatkami, pisarz miejski notuje je z większą nawet kaligraficzną starannością, podnoszą kronikarze styl swój w słowa górne i lotne, sam dzień przyjazdu uwidoczniiony jest zawsze prawie w księgach dużemi literami, z pewną powagą i monumentalnością, jak przystoi na epokowy, ważny w dziejach miasta wypadek.

Z opisów tych, wzmianek, rachunków miejskich, ze współczesnych relacji, ze zdarzeń wreszcie dziejowych, które nieraz całą Polskę obiegały na srebrzystych skrzydłach »hosanna« i chwały dla na-

szego miasta — powstaje, obok określonego wyżej pojęcia starolwowskiej lojalności, obraz dziwnie piękny i dziwnie czarowny. Obraz miasta, które całą swoją istotą, każdym kamieniem w murach, krwią swoich mieszczan i majątkiem wierne było królom polskim, aż do ostatniego tchu w piersiach... do ostatniego grosza w kasie. Sława wierności i poświęcenia mieszczan lwowskich dla króla i ojczyzny biegła od krańca do krańca Rzeczypospolitej, a stwierdzona wielokrotnie i krwią przypieczętowana w czasie napadów tatarskich, kozackich i tureckich wywoływała hymny pochwalne, pisma dziękczynne, wdzięczne uchwały senatu, napuszyste pienia panegirystów, a w samym mieście żywe i wielkie poczucie miłości dla majestatu królewskiego, którem mieszczanin upajał się, jako czemś wyższem, poświęcanem, świętem nieledwie.

Były, co prawda i przyczyny, które ową aureolę, opromieniającą w pojęciu mieszczan lwowskich osobę każdego króla polskiego, sprowadzały do bardziej realnych mianowników. Uciskane coraz to bezwzględniej i coraz swawolniej przez stan szlachecki, przez kupy skonfederowanego i luzem chodzącego żołnierstwa, niszczone wojną i gorszą jeszcze od wojny polityką ekonomiczną, celną i przemysłową szlacheckiej Rzeczypospolitej widziały miasta polskie, a razem z nimi i Lwów we władzy królewskiej jedyną ostoję i nadzieję ratunku. Był król dla miasta szafarzem przywilejów, rozdawcą jarmarków, wolnych składów, orędownikiem cechów, był dla nich ostatnią instancją sprawiedliwości, ojcem i opiekunem, któremu się użalić na krzywdy, któ-

rego prosić można o zakaz drugiemu, aby nie krzywdził, aby psot nie wyprawiał, aby nie łamał przywilejów, swobody szanował...

Ale tutaj właśnie moment polityczny przechodzi.. w dramat. Ów o wyśnionej potędze majestat królewski, nie mniej był słaby, nie mniej bezsilny od tych, co się jego opiece poruczali. Płaszcz purpurowy królów polskich już od Zygmunta III począwszy, nikogo ogrzać, nikogo ochronić nie potrafił przed samowolą szlachecką, pergaminowe przywileje o majestatycznych pieczęciach nie miały wielkiej mocy wykonawczej, nie było siły, która by obroniła mieszczan od zdzierstwa i wyzysku, od niesłusznych i samowolnie nakładanych kontrybucji własnego żołnierstwa i od całego szeregu nadużyć a politycznej lekkomyślności, która nie dopuściła do wytworzenia się stanu mieszczańskiego i spowodowała ostateczny upadek miast. Jeżeli tedy mieszczaństwo mimo wszystko garnęło się do majestatu królewskiego i otaczało go świętą nieledwie czcią, jeżeli sami królowie wreszcie wśród mieszczaństwa czuli się nieraz bardziej u siebie, aniżeli w obliczu sejmu warszawskiego i Najjaśniejszych stanów Rzeczypospolitej, to węzły tej przyjaźni nie były snać z materialnej przedzy osnute, a »szczęśliwe przyjazdy« królów czczą ceremonją i urzędową paradą.

Na zewnątrz bowiem cechy parady miała ta ceremonialna strona powitania, żegnania i czci oddawanej królom za ich pobytu we Lwowie. Entuzjizm zwykł się na ogół w jednakich formach objawiać, tylko na tej formie wiek każdy wyciska swe charakterystyczne piętno stylowe i obyczajowe.

Stąd też pobyty królów polskich we Lwowie sporo dostarczają materiału do historii obyczajów, a każdy tego rodzaju obchód jest skończonym dla siebie obrazkiem, skromnym początkowo, treściwym i skąpym w słowa tak jak dzieje średniowiecza, poważnym i wspaniałym jak odrodzenie z czasów Jagiellonów i Stefana Batorego, w wybujałe wreszcie formy baroka przechodzącym za dalszych królów, aż do ostatniego, którego noga wśród okrzyków radości i tryumfu we Lwowie stanęła tj. do Augusta II. Z czasem wyrobił się nawet pewien ustalony sposób witania królów, parada stawała się szablonem, ale i w tym szablonie dużo było zawsze kolorytu miejsca i epoki, dużo niedzisiejszego już obyczaju i form, które w czasach obecnych mogą się wydać śmiesznymi, ale w każdym razie są niejako protoplastami dzisiejszych objawów entuzjazmu, festynów i. t. d.

Nie same jednak festyny były treścią pobytu królów polskich we Lwowie. Nieraz nie czas był ani pora na uroczystości, wśród klęsk spadających na kraj i na miasto, czasami znowu przyjeżdżali królowie w sprawach państwowych, po kilkakroć wreszcie stał się Lwów faktyczną stolicą Polski skąd szły manifesty po wszystkich województwach, ziemiach i powiatach, dokąd dążyli posłowie zagraniczni, gdzie się ważyły losy całego Królestwa. Cichły wtedy powitalne grzmoty armat, muzyki radosne tony i huczne okrzyki, gasły stosy ognia i race fajerwerków — król sam powszedniał, stawał się zwykłym sąsiadem, gościem droгим, największą czcią otaczanym.

Nie będzie rzeczą niniejszej pracy śledzić krok za krokiem pobyt królów polskich we Lwowie, opowiadać, co tutaj czynili, jakiego rodzaju sprawy polityczne załatwiali. Autorowi chodziło bardziej o obyczajową stronę stosunku mieszczan do majestatu królewskiego, a w tym względzie właśnie źródła lwowskie dostarczają sporo ciekawego materiału. Przedewszystkiem Księgi przychodów i rozchodów miejskich, przechowywane w Archiwum miejskim, pod sygnaturą A. III. stanowią niewyczerpaną kopalnię szczegółów, z których dotychczas korzystał w tym kierunku jedynie Zubrzycki w »Kronice miasta Lwowa« i dr. K. Heck w pracy »Pobyt Władysława IV. we Lwowie«.

Drugim, niemniej cennym źródłem są kroniki lwowskie, a mianowicie J. B. Zimorowicza »Leopolis triplex« i ks. Józefowicza »Kronika m. Lwowa«. Obaj ci historycy lwowscy uzupełniają się wzajemnie, bo podczas gdy Zimorowicz urywa na Władysławie IV., Józefowicz opowiada o pobytach we Lwowie królów dalszych od Jana Kazimierza począwszy, obaj też są bardzo wymowni, o ile chodzi o opis zewnętrznej strony przyjęcia królów i notują dokładnie każdy prawie ich pobyt we Lwowie.

Bardziej natomiast jednostronnym źródłem jest Wielewicz w swojej kronice zakonu Jezuitów we Lwowie p. t. »Historia collegii Leopoliensis S. J.« (rękopis przechowywany w bibliotece nadwornej we Wiedniu). Notuje on wprawdzie każdy pobyt królewski we Lwowie, o tyle jednak, o ile

odnośny król odwiedził kościół Jezuitów, do tego stopnia, że naprzykład z pewnego rodzaju żalem wspomina, jak August II. mimo uprzejmych zaprosin rektora nie raczył się, w czasie swego we Lwowie pobytu, pofatygować do Jezuitów.

Dalsze szczegóły o pobytach królów polskich we Lwowie rozrzucone są mimochodem w różnych rękopisach, wydanych już drukiem źródłach dziejowych, lub wreszcie historycznych opracowaniach, które w dalszym ciągu tej pracy na właściwych miejscach będą cytowane. W zebraniu tych wiadomości, o ile możliwe było dokładnem, choć z natury rzeczy wobec ogromu literatury odnośnej i szczupłości wzmianek, nie zupełnem, pomocny był autorowi życzliwą radą, czynem i inicjatywą, archiwariusz m. dr. Aleksander Czołowski, za co mu też autor na tem miejscu serdeczne składa podziękowanie.

I.

Od Kaźmierza do Olbrachta.

Kazimierz Wielki jako zdobywca. — Skarbiec ruskich książąt. — Założyciel Lwowa. — Władysław Jagiełło, częsty gość. — Jadwiga. — Dobrodziejstwa dla Lwowa. — Dary miasta. — Cesarz Zygmunt we Lwowie. — Żałoba. — Warneńczyk i wrazenie katastrofy. — Kazimierz Jagiellończyk. — Dyplomacja lwowska i futra zajęcze. — Wjazd tryumfalny Jana Olbrachta. — Smutny powrót z wyprawy bukowińskiej.

Na skrzydłach wojny i z hufcem zbrojnym przybieżał pierwszy król polski do Lwowa i spadł szybko jak orzeł na swoje dziedzictwo. Zaledwie bowiem przyszła do Krakowa ponura wieść, że ksiązę ruski Jerzy II Trojdenowicz w dniu 7 kwietnia 1340 r. padł od trucizny, podstępnie mu przez własnych bojarów w napoju podanej — a już przy końcu kwietnia tegoż roku był Kazimierz Wielki, stryjec zmarłego i spadkobierca, pod Lwowem. Hufce jego zajęły bez oporu podgrodzie, ścielące się wraz ze swemi monastery u stóp dzisiejszej góry zamkowej od strony żółkiewskiego przedmieścia, a niebawem i gród sam warowny, drewniany, na górze położony, w okolicach dzisiejszej groty kamiennej na plantacjach Wysokiego Zamku — otworzył mu swoje bramy. Uniemożliwiając opór na przyszłość, wziął Kazimierz Wielki ze Lwowa zakładników, spalił fortyfikacje grodu i uniósł zeń bogate łupy, składające się ze złota,

srebra i klejnotów przez wieki zebranych. Były w nich także insygnia książęce, dwie drogocenne korony, tron złocisty kamieniami sadzony, bogaty płaszcz, kilka szczerozłotych krzyżów, z których jeden mieścił w sobie wielką część drzewa Chrystusowego*).

Tegoż roku 1340 w czerwcu był Kazimierz Wielki po raz drugi we Lwowie, w dziesięć lat później w sierpniu spotykamy go znowu tutaj, a gdy po dwukrotnym najeździe litewskim miasto stare, ruskie doszczętnie spłonęło, przystąpił do założenia Lwowa nowego, na miejscu dzisiejszego śródmieścia.

Odtąd przebywał Kazimierz Wielki bardzo często we Lwowie. Ślady jego dłuższego pobytu tutaj znajdujemy pod rokiem 1352 i 1366**) w którym przez całe lato mieszkał we Lwowie. Za jego wpływem, pomocą, radą, planem, powstawał Lwów nowy, czworobokiem murów obwiedziony i warownemi basztami, dwoma zamkami, wysokim i niskim broniony. Położył Kazimierz Wielki fundament pod dzisiejszą katedrę i ratusz, nadał miastu prawo magdeburskie, uposażył w sto łąnów frankońskich ziemi, zorganizował władze jego, dał mu rząd i sąd, przywileje handlowe i położył trwałe podstawy jego przyszłego rozwoju.

Założyciel Lwowa zmarł w roku 1370, a po jego śmierci władał Rusią z ramienia króla Ludwika

*) Dr. A. Czołowski. Lwów za ruskich czasów. Lwów 1891. str. 39.

**) Zubrzycki: Kronika miasta Lwowa str. 35, 39.

węgierskiego ks. Władysław Opolski Nowy władca uczynił Lwów swoją stolicą, a podług Zimorowicza*) odbył prawdziwie królewski wjazd do miasta, na czele licznych hufców śląskich. Na jego przyjęcie wysypała się za miasto cała ludność, a głównie niemieccy osadnicy, pochyłano przed nim aż do stóp sztandary i t. d. Władysław Opolczyk przebywał bardzo chętnie we Lwowie, bił tu swoją monetę, miasto licznymi przywilejami obdarzył, zatwierdzając równocześnie wszystkie nadania Kazimierza Wielkiego.

Naprawdę jednakowoż serdeczne węzły między królem a mieszczaństwem lwowskim nawiązały się od czasów Władysława Jagiełły. Nie było może króla, z wyjątkiem Jana Sobieskiego, który by tak chętnie, tak często, tak prawie co roku we Lwowie przebywał, tak bardzo to miasto ukochał, tyle mu dobrodziejstw wyświadczył, tylu wreszcie przywilejami zasypał, co Władysław Jagiełło. W ciągu czterdziestu siedmiu lat jego panowania, lat 20 wymieniają kronikarze lwowscy i księgi miejskie jako takie, w których król we Lwowie przebywał, nieraz nawet bardzo długo, niekiedy znowu w jednym roku po kilkakroć. Król ten, który ustawicznie był w podróży, rzemiennym dyszlem całą Polskę, Ruś i Litwę objeżdżał, miał tutaj na Rusi i we Lwowie najwięcej do czynienia. Wszak mnóstwo miast, miasteczek i wsi lokował tutaj na prawie niemieckiem, fundował klasztory, kościoły,

*) J. B. Zimorowicza: Pisma do dziejów Lwowa odnoszące się, wydał K. J. Heck. Lwów 1898. str. 72.

wszak kraje ruskie na nowo urządzał, organizował, szmatami całymi ziemię rozdarowywał. Tutaj dopiero czuł się panem i królem, tutaj jako na własnem dziedzictwie szukał podstaw dla władzy swojej wzmożenia. Tak był popularnym, powszednim gościem we Lwowie, że nawet Zimorowicz, żyjący już w czasach pompy i ceremonjału, który o każdym wjeździe królewskim umie opowiedzieć ze swadą reportera dziennikarskiego, jak to było, kto osobę królewską witał, o uroczystościach z powodu przyjazdu Władysława Jagiełły nic nie wie, a księgi miejskie z całą prostotą notują raczej, to co się stało za pobytu króla we Lwowie (*Rege in Lemburga existente*), aniżeli sam jego przyjazd.

Aniołem, który dobrodzieja tego szczodrego u bram Lwowa wyprzedził, była żona jego, wielka królowa Jadwiga. Po śmierci Ludwika węgierskiego ruszyła ona w roku 1387 wraz ze znakomitym poczem panów polskich, celem odzyskania Rusi*). Płacz i żaloba towarzyszyła, tej prawdziwie tragicznej w dziejach naszych postaci, w jej tryumfalnym pochodzie. Oto po tylu uprzednich ciosach życiowych, dotknęła ją w owej chwili śmierć matki, a konieczność twarda a poświęcenie się dla ojczyzny, a wola wreszcie tych samych panów, którzy dla dobra Polski kazali się jej wyrzec serdecznego kochania i oddać dłoń obcemu, straszному dla niej Litwinowi, ta sama twarda niewola majestatu wiodła ją obecnie na Ruś.

W dniu 2 marca 1387 stanęła Jadwiga ze swoim orszakiem w Gródku pod Lwowem, wysy-

*) Por. K. Szajnochy: *Jadwiga i Jagiełło*.

łając stąd posły do miasta, dumnego już wówczas, potężnego, wojennego, z żądaniem otwarcia bram. Lwów zawahał się chwilę, niepewny co począć z namiestnikami węgierskimi, z listem ostrzegawczym Władysława Opolczyka, że to nie Jadwigi, lecz starszej jej siostry Marji dziedzictwo. Ale wahanie trwało bardzo krótko. Poszli bowiem rajcy Lwowa do Gródka, pokłoniły się ohotnie młodziutkiej królowej, te brodate, w futrzanych szubach, z niemiecką jeszcze mową na ustach, ale z polską już myślą w sercu, postacie mieszczan lwowskich, a uwożąc przywilej, zatwierdzający dawne prawa rzeczypospolitej miejskiej, otworzyli chętnie i na oścież bramy miasta aniołowi, którego stopa po raz pierwszy w dniu 9 marca tegoż roku 1387 i niestety po raz ostatni stanęła we Lwowie.

W kilka miesięcy później zawitał i Jagiełło, w powrocie z apostolskiej wyprawy z Litwy, po raz pierwszy do Lwowa*). Odtąd, jak już wyżej wspomniano, był on prawie corocznym gościem we Lwowie, uwielbiany i czczony przez mieszczaństwo, które jemu i królewskiemu dworowi nie szczędziło, podarków, darów honorowych, prezentów, odwdzięczając się w ten sposób za liczne dobrodziejstwa z rąk jego otrzymywane. A były te dobrodziejstwa podwaliną dobrobytu miasta i jego świetności. Obok stu łanów nadanych przez Kazimierza Wielkiego, wydzielił Jagiełło na rzecz Lwowa wielkie obszary

*) Szczegóły z pobytów Władysława Jagiełły we Lwowie rozrzucone są w „Pomnikach dziejowych Lwowa“, wyd. dr. A. Czołowski tomów 3, por. także Długosza i Zubrzyckiego „Kronikę“.

w znacznym od murów miejskich promieniu t. z. pustkowie, które zabiegliwość i praca mieszczan lwowskich zaludniła wioskami i koloniami, wyłocila łanami zbóż, pasiekami i t. d. Jagiełło przeniósł ostatecznie metropolię halicką z Halicza do Lwowa, świadczył kościołom tutejszym, klasztorom, szpitalowi, wyniósł Lwów do rzędu największych i najpotężniejszych miast w Polsce, a mieszczaństwo lwowskie stało się za jego czasów ważnym czynnikiem politycznym, którego zdanie nawet w kwestji następstwa tronu nie było królowi obojętne, jak świadczy dokument z r. 1425, zapewniający ze strony Lwowa następstwo na tron polski potomstwu Władysława Jagiełły.

Nie było zdarzenia historycznego w Polsce za Jagiełły, którego echo nie odbiło by się we Lwowie. Po wiekopomnem zwycięstwie grunwaldzkim część jeńców krzyżackich więzioną była we Lwowie, witało miasto potężnego a ukochanego króla, gdy z pól śniatyńskich wracał po otrzymaniu hołdu od wojewody mołdawskiego Aleksandra, witało go, gdy w ciężkiej żałobie po śmierci Jadwigi, pierwsze swe kroki skierował do Lwowa i na Ruś, gdzie w gęstych lasach na łowach tłumił żal swój, świadkami byli wreszcie mieszczenie lwowscy sporów królewskich z duchowieństwem.

Wśród takiej różnej doli wytworzył się między królem a mieszczaństwem stosunek poufały. Pano wie ratusza lwowskiego nawiedzali go, ilekroć przebywał pod Lwowem, czy to w Gródku, Dobrostanach, czy Batiatyczach, król przysyła na stół radecki w ratuszu w darze, upolowaną przez siebie dziczyznę, w zamian za dary i prezenta ratuszowe.

Dary te i prezenta były esencjonalną treścią ceremonji powitalnych, a zadziwiają dziś swą prostotą i utylitarną, użytkową stroną. Dostawał więc król sukno najrozmaitszego gatunku i rodzaju na łokcie, lub całe postawy, pieprz w niezrozumiałych dla nas ilościach, korzenie, ryby, zwłaszcza wyzinę i kawior, kobierce, trzosi i t. p. W r. 1416 naprzykład złożono królowi dar honorowy w postaci pary wółów opasowych, beczki miodu syconego, kilku kamieni pieprzu i paru bochenków chleba białego. Równocześnie wyprawiono w tym roku na cześć króla bankiet w ratuszu, który kopę groszy prag-skich kosztował. Również i orszak królewski był obficie honorowany w naturaljach i artykułach spożywczych, a pisarze z kancelarji królewskiej otrzymywali zwykle w podarunku, każdy parę butów, co zdaje się świadczyć, że nawet wówczas dobrobyt ludzi, utrzymujących się z pióra, nie musiał być zbyt wielkim.

Zresztą buty w ówczesnem pojęciu służyć mogły również jako dar honorowy, tak samo jak dziś naprzykład każde album z fotografjami. Kiedy bowiem w r. 1429 cesarz niemiecki Zygmunt, dążąc na zjazd do Łucka, bawił wraz z cesarzową we Lwowie, otrzymał w darze od miasta, między innymi małe futerko za 30 groszy, a cesarzowa dwie pary butów za 36 groszy.

Razem z Jagiełłą bywały także we Lwowie niejednokrotnie i jego żony, (król ten był, jak wiadomo, cztery razy żonaty), także i bracia. Wszystkich miasto odpowiednio honorowało, a księgi rachunkowe miejskie z tych czasów, posiadają osobną ru-

brykę »honorationes«, w której wszystkie te dary skrupulatnie, z podaniem ceny, notowano.

Po raz ostatni bawił Jagiello we Lwowie w r. 1431, a w trzy lata potem w drodze do Lwowa, umarł w Gródku. O jego popularności we Lwowie i sympatji, daje wyobrażenie niezwykła w owych czasach i ani przedtem, ani potem nie powtarzająca się manifestacja żałobna. Na wiadomość bowiem o śmierci królewskiej, obok wspaniałych i bardzo kosztownych egzekwii w katedrze, uchwaliła Rada miejska i pospólstwo, ażeby miasto przez cały rok wstrzymało się od bankietów, zabaw weselnych, śpiewu, muzyki i tańców.

Młody następca Jagielly, Władysław Warneńczyk zaraz w pierwszym roku panowania swego przybył do Lwowa*). Rycerski, wielkie nadzieje rokujący król, pozyskał też sobie sympatję mieszczan, a z ratusza znowu wynoszono mu dary w formie różnych materji, pieprzu, imbiru i t. p. rzeczy. W r. 1436 odbierał Władysław Warneńczyk publicznie na rynku lwowskim hołd od hospodara wołoskiego Eliasza, a najbardziej dał się poznać i najlepszą po sobie zostawił pamięć w roku 1439, gdy wraz z całym dworem przez całą zimę przebywał we Lwowie. Jeszcze dążąc na nieszczęsną wyprawę turecką, w Budzie po drodze, zatwierdził wszystkie przywileje miasta, przydając nowych, a ważnych, jak prawo składu wolnego, mocą którego każdy kupiec, przejeżdżając przez Lwów, musiał tu przedewszystkiem towary swoje wystawiać

*) Zubrzycki str. 97 i dalej.

na sprzedaż, -- przywilej ważny, bo dawał kupcom lwowskim w ręce cały handel wschodni.

To też gdy w r. 1444 rozległa się po całej Polsce jak grom wieść o klęsce pod Warną, wywołała ona we Lwowie formalną rozpacz i niedowierzanie. Rada miejska wysłała na własny koszt posłańca, aż na same pobojuwisko, a d Regem scrutandum, dla odszukania króla i sprawdzenia nieszczęścia. Kosztowała ta wyprawa 17 dukatów węgierskich, sumę, jak na owe czasy wprost ogromną. Równocześnie starosta lwowski, na przebłaganie niebios, wystawił przy ul. Garncarskiej (dziś Mochnickiego) kaplicę i osadził w niej dwu zakonników, ślubując, że w razie, gdy król się odnajdzie, on na tem miejscu ufunduje duży kościół. Niestety król nie powrócił, a kaplicę jeszcze tego samego roku zburzył napad tatarski.

W ciągu długiego swego i pełnego chwały panowania był Kazimierz Jagiellończyk wszystkiego pięć razy we Lwowie, zawsze w sprawach rządowych, a głównie dla utrzymania w karchach gospodarów wołoskich i utrzymania Wołoszczyzny w rękach Polski*). Kwestja gospodarów wołoskich sprowadziła go poraz pierwszy do Lwowa w r. 1448, potem znowu w r. 1460, 1468, 1469 i po raz ostatni wreszcie w roku 1485 razem ze synami Janem Olbrachtem i Aleksandrem, na czele 20.000 szlachty, w drodze do Kołomyi dla odebrania hołdu od hospodara wołoskiego W sprawach tych, często bardzo drażliwych i zawikłanych odda-

*) Zubrzycki str. 106 i t. d.

wali mu mieszczanie lwowscy znaczne usługi, jako obznajomieni dokładnie ze stosunkami na Wołoszczyźnie, z którą miewali tysiące kupieckich interesów. W r. 1469 dwóch rajców miejskich sprawowało funkcje agentów dyplomatycznych, mających po za uregulowaniem stosunków handlowych między Polską a Wołoszczyzną, bardzo dyskretną misję wybadania stosunków i usposobienia, tak samego chytrego wojewody Stefana, jak i jego dworu. Z poselstwa tego wywiązali się rajcy, jak powiada Zimorowicz, dokładnie*) i ku zupełnemu zadowoleniu króla.

Za każdym pobytem przyjmowało go miasto uroczyście i przynosiło dary**) Ciężkie były czasy podówczas. Zdobyć Kili i Białogrodu przez Turków podcięło zupełnie handel lwowski, najznakomitsze rody kupieckie pobankrutowały i dlatego też miasto na przyjęcie króla musiało się zapożyczać. Mimo to jednak, znajdujemy w księgach rachunkowych sporo pozycji na dary królewskie, na piwo, na korzenie i t. p., a wśród nich jeden dar, dla zwyczajów współczesnych bardzo charakterystyczny. Mianowicie rajcy miasta Lwowa, dla nadania większej powagi swojemu urzędowi, sprawili sobie, naturalnie z funduszków miejskich, sześć futer zajęczych, w których występować mieli w czasie większych uroczystości. Królowi podobały się te futra do tego stopnia, że się po prostu o nie przymówił, a rajcy mu je z całą gotowością, jako podarek honorowy, oddali.

*) Zimorowicz : Kronika wyd. K. J. Heck str. 109.

**) Arch. m. III. 2. str. 478.

Syn i następca Kazimierza Jagiellończyka, Jan Olbracht, jeszcze jako królewicz dał się poznać Lwowianom z najlepszej swojej, rycerskiej strony, która wśród rycerskiego mieszczaństwa zawsze sympatyczny znachodziła oddźwięk. Za życia ojca jeszcze, uganiając się po Rusi za Tatarami, to dążąc na wyprawy wołoskie często miał sposobność przebywać we Lwowie. Był w r. 1487, przywożąc z ramienia swojego ojca uwolnienie dla miasta na dwa lata od wszelkich podatków, których dochód miał być użyty na umocnienie fortyfikacji i obdarzony został dwoma sztukami adamaszku, złotem przerabianego*). W 2 lata później, wracając ze zwycięskiej wyprawy na Tatarów, odbył do Lwowa wjazd tryumfalny z niezwykłym przepychem. Wjeżdżał sam na koniu, potężny, wyniosły, wśród sztandarów złotem połyskujących, otoczony zwycięskimi hufcami, z których ostatni niósł sztandary na wrogu zdobyte, a między nimi wielki sztandar z półksiężycem. Tłum jeńców tatarskich w łykach zamykał ten wjazd tryumfalny, któremu towarzyszyły okrzyki radości całego miasta. Zabawił wtedy królewicz przez dłuższy czas we Lwowie i wziął udział w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod budującą się właśnie wieżę ratuszową**).

W ośm lat później, na polu pod cerkwią św. Jura gromadziły się znowu wojska polskie na wyprawę wołoską. Sam, już wtedy król, Jan Olbracht przybył z początkiem czerwca do Lwowa, odby-

*) Zubrzycki str. 124.

***) Zimorowicz str. 100.

wał przeglądy wojsk na placu św. Jura w najlepszej myśli i nadziei, nie zważając nawet na niefortunne prognostyki i znaki niebieskie, których mu niebios, według relacji Zimorowicza, nie szczędziły*).

W połowie listopada gruchnęła po Lwowie wieść o strasznej klęsce wojsk polskich w lasach bukowińskich. W ślad za nią nadeszły niedobitki nieszczęsnej wyprawy, zgłodzone, obdarte, z głowami w dół pospuszczanemi, jak powiada Zimorowicz. Ci, co konno wyjechali. pełni fantazji, teraz pieszo powrócili, szlachta zmieszana z żołnierzem zaciężnym. Karety pańskie zamieniły się w ambulanse dla chorych, albo karawany, w których zwożono zabitych, celem pogrzebania ich w kościołach lwowskich. Żałość ogromna ścisnęła serca Lwowian na widok tych głodnych i wyczerpanych do ostateczności rycerzy, największy zaś żal wzbudzał sam król, który bardziej ze żalu, niż niemocy rozchorował się i niechcąc nikogo widzieć, zamknął się w izbie na Niższym Zamku. Majestat królewski nie miał nawet powozu, którymby mógł odjechać do Krakowa, miasto przeto ofiarowało mu pojazd wraz z czwórką koni, którymi król przyszedłszy nieco do zdrowia odjechał.

Od tego nieszczęsnego roku nie widział Lwów więcej w murach swoich Jana Olbrachta, nie widział też jego następcy Aleksandra, a i dla Zygmunta Starego Lwów nie stanowił miłego wspomnienia, ze względu na to, że tutaj rozbiło się marzenie i cel jego całego panowania.

*) Zimorowicz str. 103.

II.

Kokosza wojna i zastaw.

Zygmunt I. we Lwowie. — Jego utrapienia. — Choroba. — Ponury widok. — „Kokosza wojna.“ — Zbiorowe pieniactwo. — Niewojenne gwary. — Koryktura praw. — Zgromadzenie na pl. św. Jura. — Drugie zebranie pod Zboiskami. — Burza i panika. — W klasztorze Franciszkanów. — Dalsze spory. — Audjencja na schodach Niskiego Zamku. — Kapitulacja królewska. — Korona i berło na ratuszu.

Jakoś dziwnie nie miał król Zygmunt I. szczęścia we Lwowie. Nie spotkała go tutaj ani jedna przyjemna chwila — same tylko troski, zmartwienia, chorobę niósł mu pobyt we Lwowie, a komnaty jego rezydencji na Niskim Zamku świadkami były bólów, które duszę wielkiego króla targały na widok, jak wszystkie plany jego panowania, zamysły dla dobra powszechnego, dla potęgi kraju, dla ubezpieczenia granic od wroga zewnętrznego, rozbiły się o niechęć, nieufność własnych poddanych i owego gminu szlacheckiego, który tak dziwnie krótko widział, tak ogłuchł na potrzeby państwa, własnego tylko interesu pilnując.

Po raz pierwszy zobaczył Lwów król Zygmunta w r. 1509, gdy jednooki Bogdan, gospodar wołoski spustoszył ogniem i mieczem Ruś całą i przez trzy dni oblegał Lwów. Na wiadomość o tem wydał król uniwersały wzywające do pospo-

litego ruszenia, a sam zebrawszy na prędcę hufiec jazdy, pospieszył zagrożonemu miastu na pomoc. Nieprzyjaciela jednak nie spotkał już pod Lwowem, gdyż ten cofnął się pospiesznie, a tymczasem sam król złożony ciężką niemocą legł na Niskim Zamku i tutaj kilka tygodni przepędził na łożu boleści*).

Za drugim pobytom w r. 1524 widział król spustoszone, jak okiem sięgnąć w promieniu Lwowa, wsie i sadyby ludzkie przez Tatarów i widział także jak dumna, potężna Rzeczpospolita, chwałą czynów swoich bohaterskich świat cały napełniająca — bezsilną jest wobec zwykłych rabusiów i łupieżców, których lada straż pograniczna, dobrze zorganizowana, mogłaby od granic Polski odeprzeć.

A już prawdziwy a ponury dramat rozgrywał się w duszy króla Zygmunta za trzecim jego i ostatnim pobytom we Lwowie w r. 1537, w czasie smutnej pamięci »wojny kokoszej«. Nie było zda się troski, upokorzenia, którego by mu był oszczędził rycerski kwiat narodu, nie było takiego połamania, podeptania majestatu królewskiego, zaślepienia, idącego w poprzek wszelkim zamysłom polityki państwowej, nie było pośmiewiska, na któreby nie była narażona wobec wrogów, cała Najjaśniejsza Rzeczpospolita.

Smutek zbiera i żal i głęboka gorycz dziś jeszcze, gdy się czyta nabrzmiałe samowolą i egoizmem szlachty, karty współczesnych opisów**), gdy przed oczyma stanie ów obraz rokосу szlache-

*) Zimorowicz str. 111.

**) Górski: *Conciones* etc. wydał dr. Wojciech Kętrzyński Kraków 1877. Orzechowski: *Annales* i t. d.

kiego, obraz taki dumny, potężny, setkami tysięcy głów rozkołysały i słowami mowców złotoustych i całą wielką oświatą złotego wieku, a tak mimo to zaciemniony lekkomyślnością, krótkowidztwem politycznym, tak rozswawolony wybujałym indywidualizmem, szerokim rozmachem i gęby i korda, ale nie przeciw wrogowi zewnętrznemu, a raczej na to wszystko, co jeszcze pięknymi, złotymi promieniami padało na Polskę Zygmunta.

Taki olbrzymi obraz .. zbiorowego pieniactwa.

Z wiosną roku 1537 poszły uniwersały po kraju z wieścią o koronnym nieprzyjacielu. Był nim Petryło gospodar wołoski, byli Tatarzy, którzy rok rocznie zapuszczali pustoszące zagony aż w głąb Rzeczypospolitej. Ogłoszoną została wojna wielka i święta w obronie własnych rubieży.

Czekała na tę wojnę cała Ruś Czerwona, czekał Lwów, zawsze w pogotowiu będący, dnia niepewny, ani godziny.

A tymczasem na jego polach przedmiejskich i pod świętym Jurem i na Bajkach i na polach Zniesienia a Zboisk, gromadziły się tłumy szlacheckie. Ze wszystkich ziem i województw płynęły tu zastępy barwne, zbrojne i panowie rada osiwiła w boju i pokojowych pracach i szaraczek i piastuny urzędów wszelakich, ziemskich, wojewódzkich i koronnych. Cała Rzeczpospolita dała sobie rendez vous na polach podlwowskich; wszystko, co tylko było wielkiego urodzeniem, urzędem, co było solą Rzeczypospolitej i jej złotem błyszczącym i żelaznym koncerzem, to wszystko zjechało się posłuszne wici królewskiej i wojennemu zawołaniu.

150 tysięcy męża szlacheckiego stanęło wówczas pod Lwowem — potęga, która całą ziemię wołoską, całą hordeę nogajską w puch, na szablach, roznieść by mogła.

Ale dziwnie jakimś niewojennym gwarem rozgadała się ziemia lwowska. Nie było grzmiących wojennych okrzyków, nie wylatywały szable z pochew, a wśród tego ogromnego, niezmiernego tłumu nie szedł jakoś dreszcz wojenny i pomruk, obżowa modlitwa... *pro rege et patria!*

Miasto tych głosów szły jakieś inne, których nie zapamiętały żadne wielkie pobojowiska od Grunwaldu począwszy — głosy swarliwe, skargą roznamietnione i żalobą, a tłum się nimi upajał, wsłuchiwał się w nie, jak w dźwięki syrenie, jak w słowa pokusy. Szable wisiały u boku, a szlachta kodeksy prawne pod pachą nosiła, zwoje aktów procesowych, z sążnistymi rekryminacjami przeciwko władzy królewskiej, z chęcią przeparcia swoich żądań, praw, prerogatyw, wolności, których nikt nie naruszał, a które Zygmunt król, wtłoczyć raczej pragnął w ramy dobra państwowego.

Tworzyły się grupy, kółka radzące, burzliwe zgromadzenia, burza wisiała w powietrzu nad tronem królewskim, z dnia na dzień chmurzył się polityczny horyzont.

Główną przyczyną, która roznamietniała umysły szlachty do najwyższego stopnia, była sprawa ceł i metryki koronnej. Cło, uchwalone przez senat w r. 1510 dolegało szlachcie, nie tyle nawet istotnym swoim ciężarem, ile poczuciem, że stan rycerski wolnym być winien od tego rodzaju ciężarów, metryka

zaś, podług której dla powiększenia dochodów skarbu królewskiego ściągać miano puszczone w zastaw lub dzierżawę dobra koronne, dotykała tych przede wszystkim, którzy w ten sposób, dzierżawy, zastawu, czasowej darowizny doszli do bogactw i znaczenia. Między najbardziej przestraszonymi metryką był marszałek koronny Piotr Kmita, wichrzyciel o strasznej potędze, opartej na popularności wśród tłumów szlacheckich.

Obok tych głównych, tysiącne jeszcze były inne powody, które w głowach szlacheckich słomiany ogień rozpały. Intrygi Bony, dokonana za życia ojca elekcja Zygmunta Augusta, rozdawnictwo wakujących godności i urzędów, uwalnianie się senatorów od pospolitego ruszenia, a także rozbudzone pod wpływem romanizmu krasomówstwo i gadulstwo chętne do popisywania się frazesem, wszystko to utworzyło atmosferę duszną na chmurnem tle wybujałości interesów osobistych.

W tem w połowie lipca przyjechał król do Lwowa, w towarzystwie Jana Tarnowskiego, hetmana w. koronnego i osiwiiałych panów rady i senatu. Nie tajemem mu było co się dzieje, czuł, że z wyprawy na wroga nic nie będzie — więc zamknął się na Zamku Niskim i snuł goryczne, ponure myśli z senatorami, co robić, co dalej począć. Sytuacja bowiem stawała się coraz tragiczniejszą, gdyż szlachta, ujrzawszy się w tak ogromnej liczbie, postanowiła użyć groźnej swojej potęgi, do wytargowania na królu jak najdalej idących ustępstw.

Po długich więc partykularnych naradach zebrał się ogół szlachecki na placu św. Jura, na

pierwsze ogólne zgromadzenie pod gołem niebem, razem ze senatem. Obradowano długo i burzliwie, a delegacja zgromadzenia zaniósła królowi na Niski Zamek sformułowane żądania szlachty, których tu omawiać bliżej nie będziemy. Król odpowiedział za pośrednictwem kasztelana poznańskiego, Jana Górki, ale odpowiedź jego nikogo nie zadowolniła, wywołując tylko jeszcze większe rozgoryczenie. Ostatecznie postanowiono na drugi dzień, to jest 22 sierpnia zwołać ogólne zgromadzenie na polach, za dzisiejszą żółkiewską rogatką, pod Zboiskami.

Poranek dnia owego, 22 sierpnia, był prześliczny, słoneczny, skwarny. Na polach pod Zboiskami zebrał się cały 150 tysięczny tłum szlachty, razem z senatorami, utworzono koło i poczęły się obrady.

Żadne dzisiejsze tłumne zgromadzenie pod gołem niebem, żadna, choćby tysięczna manifestacja, nie może dać nawet przybliżonego wyobrażenia o owem potwornem rozmiarach zbiorowisku ludzkim, roznamiętnionem do najwyższego stopnia, a do tego uzbrojonem od stóp do głowy i porywczem do korda za lada okazją. I tutaj trzeba oddać hołd wyrobieniu parlamentarnemu ówczesnych tłumów szlacheckich, które umożliwiło obrady w tak niesłychanie ogromnej masie ludzkiej.

Przemawiali jeden za drugim mowcy znakomici, agitatorowie pierwszorzędni, umiejący grać na duszy szlacheckiej po mistrzowsku, schlebiać jej wielkimi słowami i uśpić wreszcie sumienie i rozum polityczny. Więc najpierw mówił Piotr Zborowski, kasztelan małogoski z ogromnym aplauzem.

i krzykiem, na znak zgody, u wszystkich obecnych, potem krótko Książski, potem Dembiński, Sierakowski, Gomoliński, Taszycki, starzec sędziwy, sędzia krakowski, którego słuchano z największą uwagą i milczeniem, a wreszcie Marcin Zborowski i Odrowąż.

Argumenty spadały jeden po drugim na rozpalone mózgi szlacheckie. Z nieprzyjacielem domowym — wołano — najpierw trzeba porządek zrobić, a gdy się Rzeczpospolita wewnątrz naprawi, to i z zewnętrznym nieprzyjacielem da sobie radę. Nie masz porządku, niema prawa, niema słuszności w tej Rzeczypospolitej. Dobra wydziera się szlachcie, na nią ciężary się wali, przyszłość niepewna, bo oto królewicz (Zygmunt August) miasto przybyć tutaj i posłuchać obrad, w Krakowie płasami, tańcami i z pannami się bawi i t. d. i t. d. Aż sam Orzechowski Stanisław, pisarz przecież wielki, mowca znamienity, statysta wytrawny, przysłuchując się owym wartkim potokom lotnego a zapalnego słowa, doznaje z uniesienia wizji forum rzymskiego i mającą mu się obrazy wielkie, tak samo jak wielkimi, chociaż pustymi były słowa rokoszowych krasomowców.

Zgromadzenie było dostatecznie podniecone i rozgrzane, gdy ktoś zawołał: niech teraz senatorowie jeden po drugim odpowiadają na wywody poprzednich mowców. Niech odpowiadają! huknęły tysięczne, groźne głosy...

Na to powstał stary Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, pierwszy senator Rzeczypospolitej i powiernik króla. Wywodził, że nie czas w tej chwili

na obrady nad korekturą praw, nie czas na rekryminacje w obliczu wroga — raczej na wojnę wszystkim się trzeba wybierać.

Przemówienie to poważne i patryjotyczne, przerywane było ustawicznie groźnymi krzykami, a gdy skończył Tarnowski podniósł się przeciwko niemu jeden okrzyk oburzenia. Czekano jednak jeszcze, co powie Piotr Kmita, wojewoda krakowski, bożek tłumów szlacheckich.

W tem jednak pogodne dotąd niebo zachmurzyło się nagle i zerwała się straszna burza z piorunami. Zapanowała ciemność tak wielka, że zasłoniła całe zgromadzenie. Nie widać było ani mowcy, ani koła obrad. W tej chwili zakotłowało i w samym zgromadzeniu. Powstało ogromne zamieszanie, nawet panika, tem bardziej, że tłum szlachty upojony trunkiem i rozgrzany agitacyjnymi mowami zawrzał nagle gwałtowną nienawiścią do senatorów. Wyskoczyły szable z pochew, poczęto wywoływać nazwiska rzekomych zdrajców — ktoś nawet strzelił do Tarnowskiego, który cudem tylko uniknął śmierci. Przerażenie padło na bliższe szeregi, a zwłaszcza na senatorów. Kto mógł tylko dosiąść konia uciekał na ślepo do miasta, torując sobie drogę obnażoną szablą. Jednem słowem tumult się zrobił tak okropny, że ludzie z przerażenia gnali całymi stadami na oślep do miasta.

Nazajutrz wysłannicy szlachty zażądali, aby senat dla dokończenia obrad stawił się na to samo miejsce pod Zboiskami. Oburzeni i przestaszeni senatorowie nie chcieli nawet o tem słyszeć. Ostatecznie zgodzono się na to, że szlachta wyszle-

swoich wysłanników do miasta, którzy dokończą obrad razem ze senatorami.

Dnia tedy 24 sierpnia zebrali się wysłannicy i senat na dziedzińcu klasztoru Franciszkanów, który stał wówczas w tem miejscu, gdzie dziś Szkoła przemysłowa. Był to dziedziniec obszerny, otoczony kolumnadą, na którego środku wytryskało podówczas obfite źródło wody. Obrady trwały przez cały dzień, aż do wieczora. Przemawiali najpierw wszyscy znani nam już z poprzedniego zgromadzenia trybunowie ludu szlacheckiego, a potem senatorowie wypowiadali kolejno swoje zdanie. Jan Tarnowski powtórzył to samo, co mówił poprzednio a tym razem wysłuchano go spokojnie, poczem zgromadzenie odroczone do 27 sierpnia.

Ale na tem zgromadzeniu nie było jakoś dużo mowców. Po przemowach Taszyckiego i Piotra Zborowskiego, jeden spoglądał na drugiego wyczekując, aż wreszcie ktoś zaproponował, aby wysłać poselstwo do króla z przedstawieniem postulatów szlacheckich. Poszli więc posłowie na Zamek Niższy, a niebawem wrócili, poczem Spytko Jordan podskarbi koronny, odczytał publicznie odpowiedź królewską, w której król zajął odporne stanowisko co do metryki i ceł, a sprawę skonfiskowanych dóbr przyrzekł oddać sejmowi pod obrady.

Odpowiedź ta wzburzyła zgromadzenie do tego stopnia, że już nie pomruk niezadowolenia, ale wprost krzyk powstał ogromny. Szlachta zajęła groźną postawę i dopiero z trudnością, po przemowie Taszyckiego rozeszła się na kwatery.

Nazajutrz 28 sierpnia aż do południa obradował król z senatem na Zamku, a szlachta w klasztorze Franciszkanów czekała niecierpliwie na ostateczną decyzję królewską. Około południa zjawił się wreszcie Jan Tarnowski i odczytał długie pismo królewskie, w którym król godzi się na niektóre żądania szlachty, przedstawia jakie szkody, większe nawet niż od nieprzyjaciela cierpi ludność z powodu tego zjazdu i wzywa wreszcie na wyprawę wojenną.

Pismo to zrobiło pewne wrażenie, ale zgromadzeni oświadczyli, że nie cała je szlachta słyszała, więc żadnej decyzji powziąć nie mogą. Zwołano więc na dzień następny zgromadzenie całej szlachty na plac św. Jura, a ponieważ uchwały w takiej ogromnej masie były niemożliwe, podzielono się na ziemie i województwa, każda ziemia wysłała swoich delegatów do cerkwi św. Jura, gdzie się odbywały wspólne narady w ten sposób, że delegaci co chwila informowali szlachtę o przebiegu obrad i uchwalonych punktach.

Obrady przeciągnęły się przez dzień następny a 31 sierpnia udała się deputacja szlachty pod przewodnictwem Marcina Branickiego, pisarza ziemi lwowskiej do króla na Zamek, z sążnistym memoriałem, nad którym król radził z senatem aż do 7 września.

Wreszcie na dzień 9 września wyznaczono uroczyste zebranie w obecności króla, senatu i całej szlachty. Dnia tego wyszedł król w towarzystwie senatu przed główną bramę Zamku Niższego, który stał jak wiadomo w miejscu, gdzie dziś gmach sta-

rego teatru i rząd kamienic od ulicy Łukasieńskiego. Na kamiennych schodach pod portykiem wjazdowym ustawiono tron dla króla, jak okiem sięgnąć stłoczyła się w to miejsce szlachta, do której w imieniu królewskim przemówił Jan Tarnowski. Odpowiedź znowu nie zadowolniła szlachty, która zażądała czasu dla naradzenia się. Udano się tedy na narady do sąsiedniego klasztoru Franciszkanów, a król tymczasem czekał...

Przez trzy dni trwały narady szlacheckie, król zaś widząc, że nie ma rady, ustąpił wobec szlachty i rezygnując już z wyprawy wojennej odesłał ją do domu. Wtedy to ze schodów Zamku Niskiego i po tej przegranej przez króla batalii padły z ust Jana Tarnowskiego słowa groźne, a historyczne o tyle, że ostatni to może odblask reakcji na samowolę szlachecką, reakcji, za którą stały jeszcze resztki mocy i powagi Majestatu. W żegnalnej mowie rzekł Jan Tarnowski: »Jeśli się kto tak niecnotliwy, tak niezbożny znajduje, któryby się ważył wmieszać Rzeczpospolitą i serca nasze od tak «dobrego oddać pana, niech się spostrzeże co czyni? — z kim zaczyna?

Rzeczywistość jednak już wtedy mówiła... co innego.

Tak się skończyła, ta smutna w dziejach naszych kokosza wojna, a król Zygmunt zmartwiony i zniechęcony do nawyższego stopnia, wyjechał do Krakowa i już go więcej Lwowianie nie oglądali.

* * *

Nie był też przez cały ciąg swego panowania ani razu we Lwowie Zygmunt August, nie miał też

czasu odwiedzić miasta naszego Henryk Walezjusz. Natomiast po jego ucieczce zaszedł fakt bardzo ciekawy, chociaż jeszcze dotychczas nie dokładnie rozjaśniony, że mianowicie korona królów polskich i berło, znalazło się niespodzianie w depozycie miasta Lwowa na ratuszu, i to najprawdopodobniej w formie zastawu.

W r. 1574 mianowicie zgłaszają się rajcy miasta Lwowa do grodu lwowskiego z oświadczeniem, że otrzymali w depozyt koronę, którą Zygmunt August w Gdańsku zakupił, a którą kasztelan sądecki oddał miastu do przechowania.

Ciekawy ten dokument przechowany w Archiwum akt grodzkich i ziemskich*) przytaczamy w całości, ze zmodernizowaną tylko pisownią:

»My, burmistrz i rajce miasta J. K. Mci Lwowa wyznawamy tymto niniejszym listem naszym i oznajmujemy wszem wobec i z osobna każdemu, komu to wiedzieć należy: Iż dnia dzisiejszego, to jest we środę, dnia 14 miesiąca Juliusza JMć Pan Stanisław Węzyk, stolnik ziemi krakowskiej, starosta sandecki, będąc u nas na ratuszu lwowskim, oddał jest w depozyt do urzędu naszego, za pozwoleniem J. K. Mci naszego Miłościwego Pana, potem za wolą Ich Mciów Panów Rad koronnych, dwa klejnoty koronne: to jest koronę złotą, kamieniem drogim, perłami etc. osadzoną, która to korona, ile sprawę pewną mamy, aby kto nie wątpił, albo nie rozumiał, żeby miała być starożytna to jest, którą króle Ich Mć polskie koronują i która jako główna

*) A. castr. t. 335 pag. 1014.

w skarbie koronnym more solito w depozycie leży — ale to ta jest korona, którą nieboszczyk król Jegomość Zygmunt⁸ August, swym własnym sumptem, od panów Loiszów kupców gdańskich kupił ją i zapłacił. Ktemu też nam oddan jest Jednorożec, po obu końcach oprawiony, które klejnoty przez Jegomość Pana starostę sandeckiego tu do Lwowa, ku obmyśleniu istoty o zapłacie IchMciom Panom żołnierzom są posłane, któreśmy my oczyma naszymi statecznie obejrzawszy, do szkatuł obwarownie przy nas schowane i pieczęciami przerzeczonego Pana starosty sandeckiego, ktemu urodzonego pana Baltazara Oźgi, Podstarościego lwowskiego, naszą też urzędową miejską zapieczętowane do miejskiego skarbu naszego pospolitego, jako wierni JKMcii poddani z taką uczciwością, jako przystoi, przyjęli, a wyrozumiawszy ustnie JMśc Pana starostę sandeckiego około ostrożnego chowania, na pomienione kaucją, to jest warunek, który na się i obowiązek przyjmujemy dobrowolnie: iż tych to przedmiotów, wyżej mianowanych nikomu z rąk naszych i z depozytu nam, przez tegoż to pana starostę zwierzzonego, nie wydamy, okrom własnej bytności JMśc Pana starosty sandeckiego, któremu samemu takowe rzeczy ze skarbu koronnego do jego wiernych rąk są podane i złożone, wyjąwszy, gdyby Pan Bóg dopuścił śmierci na Pana starostę sandeckiego, tedy temu będziemy powinni wydać, któremu J. K. Mość z Rzeczpospolitą, albo więc, gdyby J. K. Mości nie było, sama Rzeczpospolita wszystka każe wydać. Które to rzeczy i klejnoty wyżej mianowane przez nas wiernie a ostrożnie z pilnością wielką

będą dochowane, jako jest na to skrypt własny P. starosty sandeckiego przy tym depozycie nam oddany, wedle którego sprawować się mamy. Ku której rzeczy lepszemu a gruntowniejszemu świadectwu i wierze, ten list nasz niniejszy my, burmistrz i Rada miejska podpisaliśmy i sigillum urzędu naszego do tegoż listu jest przyciśnione. Datum na ratuszu miasta Lwowa i t. d.«

Pismo to nie wygląda wcale na skrypt dłużny albo kwit zastawniczy, bo zresztą klejnoty koronne, poświęcane, nie mogły może być przedmiotem zastawu, ale z wyrażen tego pisma wnioskować można, że tu przecież chodziło o zastaw, celem zdobycia pieniędzy na zapłatę żołdu zaległego dla wojska. Zresztą mogło by powiedzieć więcej owe »ustne wyrozumienie« i »skrypt własny P. starosty sandeckiego« ale one się nie przechowały.

W kilka miesięcy później, rady koronne, duchowne i świeckie zebrane na sejmie konwokacyjnym w Warszawie, wysyłają list do rady miasta Lwowa z podpisami najwyższych dostojników i z żądaniem wydania korony i jednoroźca tj. berła na ręce wojewody Tarły, który się po nie zgłosi. List ten, przechowany do dnia dzisiejszego w Archiwum miejskim, świadczy o wielkiem zaufaniu, jakie otaczało wówczas skarbiec ratuszowy, godny na pomieszczenie nawet insygniów koronnych.





III.

Stefan Batory.

Wieść o elekcji. — Zdenerwowanie. — Gwardja ratuszowa. — Karność mieszczańska. — Wojciech Ostrosz i jego zapiski. — U bram Polski. — Przygotowania we Lwowie. — Muzyka. — Tryumfalny wjazd. — Przemowy. — Dary. — Odjazd królewski. — Powtórny pobyt Stefana Batorego we Lwowie. — Sprawy polityczne. — Szcześliwy przyjazd. — Iwan Podkowa.

Wśród ogólnego zdenerwowania po ucieczce Henryka i rozdwojonych prądów bezkrólewia przyszła do Lwowa wiadomość o elekcji Stefana Batorego. Napad Tatarów, burzliwe i niepewne czasy, konieczność utrzymywania znaczniejszej siły zbrojnej i pogotowia wojennego dały się też we znaki Lwowianom. Sformowany na czas bezkrólewia oddział zacieężnych żołnierzy o czerwonych mundurach szeregowców, a szafranowych tunikach dziesiętników, wyczerpywał kasę miejską, a werwa i wojowniczy temperament tej gwardji ratuszowej, staczającej w braku innego nieprzyjaciela ustawiczne bójki uliczne z hajdukami Niskiego Zamku, stawały już kością w gardle panom ratuszowym.

Mieszczanstwo lwowskie, w którym tkwiły jeszcze resztki odległych tradycji niemieckich, byłoby może wolało widzieć na tronie jednego z ar-

cyksiążąt austriackich, zwłaszcza, że pozostawało w osobistych, przyjaznych stosunkach z wojewodą podolskim Mikołajem Mieleckim, gorącym poplecznikiem Habsburgów. Skoro jednakowoż elekcja Stefana Batorego stała się faktem dokonany, złożyli mieszczanie natychmiast swe osobiste sympatje na ołtarzu dobra publicznego, dając tem piękny przykład karności choćby tylko przyjacielowi swemu Mieleckiemu, którego buta przynajmniej chwilowo nie mogła znieść myśli, że się stało coś wbrew jego woli.

Od razu więc, bez żadnych deliberacji skierowały się lwowskie sympatje na stronę siedmiogrodzkiego elekta, a myśl, że jadąc z Siedmiogrodu musi on zawitać najpierw do Lwowa, napoiła »Rzeczpospolitą miejską« wielką radością i chęcią zgotowania nowemu panu, jak najświetniejszego przyjęcia.

Opis tych uroczystości witalnych i przygotowań do nich, zawarty jest w księdze Archiwum miejskiego*) w której Wojciech Ostrosz podpisek i bakałarz wszechnicy krakowskiej, spisywał wydatki lwowskiego urzędu radzieckiego od r. 1572 do 1582.

Wśród lapidarnych rubryk rozchodów budżetu miejskiego, wtrącał niekiedy ów bakałarz opisy najważniejszych wypadków, które stanowiły »sensację dnia« w ówczesnym Lwowie. Z tych przeto wzmianek, nakreślonych renesansowym cha-

*) A. III. 15. por. także „Kurjer Lwowski“ z 26. czerwca 1904. i następane.

rakterem pisma i kwiecistym miejscami stylem podpiska ratuszowego, jak nie mniej z niektórych innych charakterystycznych pozycji rachunkowych, wyłania się obraz uroczystości, które towarzyszyły pierwszemu krokom Stefana Batorego na ziemi polskiej, na wiosnę w r. 1576.

Famulus miejski, wysłany dla zasięgnięcia języka, gdzie nowoobрани król przebywa i którędy będzie przejeżdżał, przyniósł wiadomość, że Stefan Batory, wymijając ziemie węgierskie, na których snadnie mógł się dostać w przemoc cesarza Maksymiljana, przez Wołoszczyznę i Multany przedziera się do Polski. Z nim razem orszak dostojny. Posłowie polscy, którzy wojewodzie siedmiogrodzkiemu koronę przynieśli: Jan Tarło wojewoda lubelski, Jerzy Mniszech krajczy koronny, Wojciech Starzechowski, Mikołaj Jazłowiecki, Jan Ostroróg, uczony Marcin Leopolda, Jan Płaza specjalny protektor i przyjaciel Lwowa, który jeszcze w drodze dostał od mieszczan tutejszych sześć garnców małmazji, aby nowego króla przychylnie dla miasta usposobił i wielu jeszcze innych przesławnych w owym czasie rycerzy, szło w najbliższem otoczeniu Stefana Batorego, któremu towarzyszyło ponadto 2.000 jazdy siedmiogrodzkiej i 1.000 piechoty pod naczelnem dowództwem Grzegorza Bamphi.

Nie był to jeszcze w tej chwili wjazd tryumfalny, o którymby się wici po całej Polsce rozbiegały radosnem brzmieniem dzwonów i procesją i powitaniem chlebem a solą. Nowy władca dla wszystkich jeszcze wielką przedstawiał zagadkę, a w Krakowie toczyły się ciągle obrady sejmu, na

którym zwolennicy Habsburgów jeszcze w ostatniej chwili usiłowali stawić trudności. Między innymi wojewoda podolski Mikołaj Mielecki oświadczył, że miasto Lwów jest przeciwne Stefanowi Batoremu. Wiadomość ta wywołała nawet pewne zaniepokojenie, a w senacie podniosły się głosy, że należy wystosować do mieszczan lwowskich list z przedstawieniem i prośbą, aby się nie przyczyniali do rozdwojenia. List taki jednakowoż wcale nie był potrzebny, bo właśnie wtedy Lwów z całą niecierpliwością oczekiwał przybycia króla, a nie mogąc się go doczekać wysłał jeszcze jednego posła, niejakiemu Krzysztofa Rottendorfa naprzeciw. Informacje przywiezione przez niego były zdaje się bardzo dokładne, gdyż w mieście czynić poczęto na gwałt przygotowania na przyjęcie dostojnego gościa.

Przedewszystkiem więc kilkudziesięciu ludzi poczęło gromadzić błoto, które furmanki z Kleparowa, Hołoska i Zamarstynowa precz wywoziły za miasto. Równocześnie 30 innych robotników, wzięło się do naprawy bruków i dróg, a między innymi do rozszerzenia szlaku, prowadzącego od stryjskiego gościńca, przez tz. »Wołoski most« ku miastu. Pracował Wojciech malarz nad przyozdobieniem miasta, aromatarjusz czyli aptekarz wylewał mnóstwo świec, być może dla iluminacji ratusza, wybierał Józef Scholc, patrycjusz lwowski, kwatery dla gości i dostojników, Marcin rusznikarz reperował i czyścił broń ratuszową, a pachołkowie i hajducy miejscy tak byli czynni, że nawet zwykłych swoich obowiązków spełniać nie mieli czasu.

Wśród tych przygotowań stanął we Lwowie »dominus« Krasicki, poseł królowej Anny Jagiellonki, przyszłej żony Stefana Batorego, która go wysłała razem z kareta naprzeciw narzeczonego. Urząd radziecki przyjął go podarkami, a równocześnie przygotowania na przyjęcie króla poszły w jeszcze różniejszym tempie. Architekt Sebastjan Nosek naprawiał most zwodzony przy bramie halickiej, murarz Moczygamba pracował koło arsenału, a na samą uroczystość zakupiło miasto 38 kamieni prochu.

Również wielkie czyniono przygotowania na Niskim Zamku, gdzie król miał zamieszkać, poprawiano nawet wodociągi w pobliżu, a gorączka i pośpiech ogarnęły wszystkich, z wyjątkiem tylko wspomnianego już architekta Noska, który z »kocią flegmą« dłużył sobie koło mostu zwodzonego. Dopiero specjalna podnieta w formie dodatkowego honorarjum pobudziła flegmatycznego majstra do większego pośpiechu. Najwięcej zaś pracy dawało oczyszczenie rynku z błota, które w normalnych czasach raz tylko na rok, około Wielkiejnocy, było stamtąd usuwane i urządzenie specjalnych nasypów ziemnych koło murów miejskich, dla ustawienia armat.

Największe jednak trudności w wykonaniu przedstawiała muzyczna część programu. Wbrew swojej, później ustalonej sławie muzycznego miasta, nie posiadał ówczesny Lwów odpowiedniej kapeli. Był wprawdzie niejaki Krzysztof Gajda gwiazdą na ówczesnym muzycznym horyzoncie Lwowa, ale ten z wyjątkiem wprawnego uderzania w bęben i kilku kawałków wygrywanych na trąbie żadnych innych nie posiadał wiadomości z dziedziny muzycznej.

Sprowadzono więc aż z Przemyśla niejakiego Jakóba Bojaryna wraz z »bandą« złożoną z 10 ludzi, dość wprawnie grających na trąbach i flecie i oni to mieli uświetnić przyjęcie Stefana Batorego, razem ze zmobilizowanymi z całego Lwowa grajkami przygodnymi.

Wreszcie dnia 31 marca 1576 stanął Stefan Batory wraz ze swoim licznym orszakiem u bram Polski i zawitał najpierw do Śniatyna, a stamtąd przybył do Lwowa.

Wspaniałą to był zapewne widok dumnej lwowskiej rzeczypospolitej, gdy na przyjęcie króla wybranego wystąpiła z największym możliwym przepychem i blaskiem. Wschodnie i zachodnie krainy, wszystkie bogactwa ówczesnego handlu, rzeźka potęga niezgnębionego jeszcze stanu mieszczańskiego dodała owemu »najszcześniejszemu i najprzyjemniejszemu przybyciu Króla Jegomości« dziwnie upajającego czaru, który pozostał cały i nie-naruszony tak, jak go czuł i widział pisarz miejski, jedyny sprawozdawca uroczystości i jak go wspominał Zimorowicz w swojej historii.*) Obraz staje jasny i przejrzysty niby czarowna wizja, niby rozigrane »fata morgana« wyskoczy z każdej literki do dziś przechowanych opisów. A równo-śnie ten obraz drga życiem i prawdą, w której tyleż się dumy mieści z powodu kwitnącej ongi potęgi miasta naszego, ile smutku, że przyjęcie Stefana Batorego, to ostatnia może we Lwowie parada, będąca nie szychem, ale naturalnym kwiatem buj-

*) Zimorowicz str. 135.

nego i potężnego organizmu. Nie było przesady, a był przepych, nie było nadętej pozy, a była powaga i świetność, ogromna siła i bogactwo nawet mimo tego, że spalone przez napad Tatarów, a jeszcze nie zupełnie odbudowane lwowskie przedmieścia pierwszą stanowiły plamę i pierwszą zapowiedź upadku.

Był ranek wiosenny — sobota, 7. kwietnia 1576. Na murach miejskich i basztach od strony halickiego przedmieścia błyszczała wszystka broń i armata, jaką tylko posiadał cekhauz lwowski. Puszkarze wyczyścili ją łojem i słoniną, malarz odnowił barwy lawet armatnich, a straż miejska ułożyła w grupy i piramidy broń sieczną i palną od półhaków do całych hakownic, aby były na schwał królowi, a na świadectwo i popis potęgi miasta. U innych armat stali puszkarze z zapalonymi lontami, czekając znaku do strzałów na tryumf królewski.

Wtem z wieży ratuszowej, ozdobionej przepiękną tarczą zegara w kamieniu kowaną i drogiem malowidłem a l fresco, huk trąb się odezwał i litaurów. Jakób Bojaryn ze swoją bandą muzykantów składał dowody, że nie daremnie sława jego z Przemyśla aż w lwowskie się mury dostała i grał zawzięcie pobudkę przed samym przyjazdem królewskim. Na to hasło wysunął się z bramy halickiej orszak konny, który chyba niewiele miał sobie równych, nawet w tych czasach potęgi i świetności. Wybrano bowiem co najpoważniejszych, i najznamienitszych obywateli miasta Lwowa i kazano im wystąpić z największym przepychem, na

jaki się mógł zdobyć dumny lwowski patrycjat. Jechał więc najpierw urząd radziecki z burmistrzem i wójtem na czele w długich szatach, którym barwy i przepychu dodała cała sztuka i cały gust współczesny. Meżom konsularnym towarzyszyła gromada patrycjuszów, zbrojnych od stóp do głowy niby jakie rycerstwo średniego wieku, armis *luculentioribus*, w bogate i zbytckowne zbroje przybrana. To była reprezentacja polskiej nacji Lwów ówczesny zamieszknjącej, a tuż za nią szli wybrańcy ormiańskiego narodu z wschodnią okazałością i blaskiem, a potem co najbogatsi Grecy i Rusini. Na czele tego orszaku, który kapał chyba poprostu od złota i blach srebrzystych, jeżeli wierzyć mamy słowom zachwytu i superlatywom współczesnego sprawozdawcy, postępował znany nam już mistrz muzyki Krzysztof Gajda, waląc w olbrzymi bęben, umieszczony na grzbiecie końskim i dyrygując resztą kapeli, która huczną fanfarą na trąbach i kotłach uświetniła pochód i radosną a gwarną czyniła chwilę powitania.

Cały ten korowód przeszedł »most wołoski«, który stał na Pełtwi w okolicy dzisiejszych »kręconych słupów« i pojechał naprzód gościńcem stryjskim, trzymając się tuż obok szlachty ziemi lwowskiej, która pod dowództwem Hieromina Sieniawskiego ruszyła również na przyjęcie króla-elektę.

Tymczasem wzdłuż drogi od bramy halickiej, aż do wołoskiego mostu, ustawiły się cechy rzemieślnicze ze swoimi insygnjami i cała ludność miejska i z przedmieść, tworząc nieprzerwany szpa-

ler, i o ile możności kompetnie uzbrojony. Jeżeli-
byśmy chcieli dzisiejsze usposobienie tłumu lwo-
wskiego, odnieść do owych czasów, to całkiem
napewne rzechy można za pierwszym lepszym
reporterem, że oczekiwanie i radość widniały na
twarzach wszystkich, a uroczysty i poważny na-
strój panował wśród tłumu niepodzielnie.

Na czystem polu, daleko za miastem, dojrzano
tysięczny orszak królewski. Na czele jechał sam
Stefan Batory na „koniu trackim« jak powiada
Zimorowicz, w purpurowe szaty przybrany i w koł-
paku, na którym powiewała kita wysokich piór.
Rycerska i wyniosła postać króla od razu przy-
padła wszystkim do serca, więc też radość doszła
do szczytu, a gość przyjęty został »summa cum
omnium gratulatione« z największym zapa-
łem i serdecznością i gromkimi okrzykami.

Imieniem szlachty przemówił najpierw do
króla Hieromin Sieniawski, poczem zbliżył się doń
senat lwowski i obywatelstwo, a stanawszy półko-
łem przed osobą królewską złożył mu hołd należyty,
przyczem burmistrz w krótkim przemówieniu za-
znaczył radość miasta któremu przypadł w udziale
zaszczyt powitania elekta na drodze do koronacji.

Rycerska postawa panów lwowskiego ratusza
i lwowskiego mieszczaństwa podobała się bardzo
Stefanowi Batoremu. Może już wtedy widział oczyma
swojego genialnego ducha potęgę i moc, która
ozdobić mogła tę przyszłą jego kochaną ojczyznę
silnymi barkami stanu mieszczańskiego, może zro-
zumiał tę chwilę przełomową w rozwoju jego.
Więc odpowiedział łaskawie na powitanie, a słowa

jego w języku łacińskim tak były proste i poważne, jak dusza wielkiego króla, a tak krótkie, jak u człowieka, który nie ma czasu na czcze gadaniny. Zaznaczył najpierw Stefan Batory, że przychodzi nieznany do kraju wielkiego i wolnego, ale wkrótce pokaże i udowodni, o ile król wybrany wolnymi głosami swojego narodu przewyższa monarchów, których ślepy traf lub urodzenie na trony królewskie wynosi i narodom narzuca.

Wysłuchawszy tego przemówienia, obywatelstwo lwowskie pomieszało się z orszakiem królewskim i tak razem, a wspólnie koło osoby królewskiej, szło ku miastu z muzyką, wśród okrzyków zgromadzonego po drodze ludu, bicia we dzwony, wystrzałów armatnich i fanfary z wieży ratuszowej.

W ulicy halickiej zsiadł król z konia i udał się do katedry, gdzie go uroczyście przyjęło duchowieństwo i gdzie wysłuchał mszy, poczem wśród tych samych objawów radości odszedł na Niższy Zamek i tam w przygotowanych już pokojach królewskich zamieszkał.

Lud lwowski długo jeszcze wznosił okrzyki na cześć elekta, podziwiał wspaniały i liczny orszak królewski, wśród którego największą sensację budził Samuel Zborowski bannita z kraju wypędzony, który teraz w stroju węgierskim towarzyszył nowemu królowi, nie spodziewając się chyba, że niebawem za jego wyrokiem głowa mu spadnie z karku. Na znak radości muzyka przez cały trzydniowy czas pobytu króla we Lwowie trzy razy dziennie, rano, w południe i wieczór wychodziła na wieżę ratuszową i oznajmiała światu szczęście

wielkie i radość, że oto króla nowego Polska dostała.

Wystrzałów armatnich i ze strzelby ręcznej, ogni po ulicach, iluminacyjnych światel tyle było, że odnosi się wrażenie, jakoby Lwów cały stanął w ogniu. Wrażenie to współcześnie musiało być jeszcze silniejsze i rodziło obawę wybuchu pożaru. To też przezorny urząd radziecki, sprowadził od szewca z Przeworska, niejakiego Krzysztofa, specjalny jakiś, bliżej nam nieznany, przyrząd do gaszenia pożaru, za kwotę 2 fl 8 gr.

Na drugi dzień, w niedzielę, zaraz rano, zanim jeszcze król wyjechał do kościoła, jawiła się u niego tłumna hołdownicza deputacja mieszczan lwowskich, z darami i długim przemówieniem burmistrza. Król przyjął deputację w prywatnych swoich apartamentach, rozmawiał z nią długo o potrzebach miasta, odebrał dary, które mu przyniesiono w formie beczki wina kreteńskiego za 90 złp. i dwu skrzyń pięknie i ozdobnie przez lwowskich stolarzy wyrobionych, a napełnionych świeżymi rybami.

Również i orszak królewski obdarowany został hojnie winem i rybami, a mianowicie Kościelelecki biskup przemyski, Jan Kostka wojewoda sandomierski, Tęczyński^o kasztelan bełzki, Andrzej Zborowski marszałek królewski, Grzegorz Bamphi dowódzca wojsk siedmiogrodzkich, Marcin Berzewicz podkanclerzy itd, itd.

Trzy dni bawił Stefan Batory we Lwowie, a pobyt jego niezamącony został najmniejszym nawet dysonansem. Dopiero w Gródku koło Lwowa spotkała go pierwsza przykrość. Oto wspomniany

uż wyżej wojewoda podolski Mikołaj Mielecki, żzacięty stronnik Habsburgów zamknął przed nim bramy miasta i wcale się z królem nawet widzieć nie chciał. Stefan Batory zniósł ten afront dumnego panka, a nie zatrzymując się wcale koło Gródka ruszył dalej na Sądową Wisznię w stronę Krakowa.

W dwa lata później, w r. 1578 zawitał Stefan Batory po raz drugi do Lwowa i bawił tu przez kilka miesięcy, od maja aż do września. Rozgrywały się wówczas ważne sprawy polityczne na Niskim Zamku*) Sprawa odzyskania Kurlandji zajmowała wtedy umysł wielkiego króla, a równocześnie konieczność zapewnienia Polsce pokoju ze strony Turcji. Z konieczności tej politycznej położył wówczas na rynku lwowskim głowę pod topór katowski Iwan Podkowa, kozak znany ze siły fizycznej i waleczności, który zawichrzył Wołoszczyznę i naraził granice Polski na najazd turecki. Smutna ta sprawa wywołała wiele zabiegów, ożywioną wymianę listów i zatrula królowi pobyt w mieście, które go witało z równą serdecznością i wystawnością, jak za pierwszym razem.

Na jego powitanie wyszło aż hen daleko na pole całe uzbrojone miasto. Na przedzie jechał pod barwnym sztandarém oddział wybrany, z co najprzedniejszych i najdzielniejszych obywateli, wszystkich trzech narodowości zamieszkujących miasto, a więc Rusinów, Ormian i Polaków. Wszyscy byli »conformiter ornati« — przystojnie przyodziani, a jechali przy dźwiękach trąb, bębnów i kotłów.

*) Por. Polkowski: »Sprawy Stefana Batorego«

Za nimi piechota miejska, poprzedzana pięciu konnymi rajtarami, zakutymi w żelazo od stóp do głowy z ogromnymi mieczami, które trzymali ostrzem do góry.

Wreszcie sam kwiat mieszczański: radziecki urząd i ławnicy w otoczeniu poważnych wiekiem i najbogatszych w mieście patrycjuszów. Burmistrz oczekiwał króla w mieście.

Po zetknięciu się z orszakiem królewskim, przemówił krótko do króla jeden z rajców, wręczając mu klucze od bram miejskich. Król odpowiedział, dotknął ręką kluczy i wraz z całym dostojnym orszakiem ruszył do miasta. Na froncie bramy halickiej powitał go olbrzymich rozmiarów orzeł, wymalowany przez malarza Bogusza, za co tenże artysta otrzymał honorarjum w skromnej kwocie 1 złp. 6 gr.

Na drugi dzień rano przybyła do króla deputacja miejska z mową i honorowym darem w formie pięknego kubka srebrnego, pozłacanego, wagi 10 marek i $4\frac{1}{2}$ łóta, a wartości 143 złp. 25 gr. W orszaku królewskim znajdował się wówczas także, późniejszy zwycięzca z pod Kirchholmu Jan Karol Chodkiewicz, któremu miasto ofiarowało w darze 10 garncy małmazji i muszkatelu.

W czasie kilkumiesięcznego swego pobytu we Lwowie, zagospodarował się tu Stefan Batory na dobre. Kancelarja jego załatwiała sprawy bieżące, przywiózł nawet król swego drukarza Pawła Szczerbica, wychodziły tu dyplomy, nadania w najrozmaitszych sprawach, rozchodziły się z Zamku Niskiego listy i rozkazy na całą Polskę, a dwór królewski

świetny i gwarny, napełniał życiem i hukiem całe miasto, przyczem nie obchodziło się także bez bójek i awantur.

W chwilach wolnych od trosk i zajęć państwowych wybiegał Stefan Batory za miasto na pola lwowskie, gliniańskie, szczyrzeckie, gdzie bawił się ulubionem polowaniem na zające. Na polowanie też uciekł wówczas, gdy na rynku spaść miała głowa Iwana Podkowa, jedyny może czyn, który cieniem pewnego rodzaju przysłonił pobyt Stefana Batorego we Lwowie, a nawet, po części, i samą jego osobę.

Tęgi to był i dzielny kozak Iwan Podkowa, rycerska, szczerą naturą, odważna aż do zapamiętałości. Z tą samą odwagą poniósł też swoją głowę na szafot, pod presją stosunków międzynarodowych, na stanowcze życzenie Turcji. »Biedny Podkowa, jednak będzie musiał głową nałożyć« pisze osoba blisko króla stojąca do Krakowa, gdy już ów nieszczęsny pretendent do gospodarstwa wołoskiego znajdował się w więzieniu we Lwowie.

Raz go już nalegania szlachty, ceniącej rycerski animusz więźnia i pamiętającej, że sam Podkowa oddał się w ręce Mikołaja Sieniawskiego, ochroniły od egzekucji, ale gdy już nadszedł krytyczny dzień 16 czerwca, król, pragnąc uchylić się od dalszych prośb i nalegań, wyjechał na polowanie, a równocześnie egzekucja została dokonana przed ratuszem, na zwykłym miejscu, pod przęgierzem, gdzie zwykle złoczyńce tracono.

Nie obeszło się przytem bez znaków niebieskich. Znany nam już pisarz miejski Wojciech Ostrosz notuje, że w chwili, gdy padała głowa Podkowy, załamał się nagle dach nad przedsionkiem ratusza i spadł na ziemię, ku wielkiemu przerażeniu zaboronnej gawiedzi. Bractwo stauropigialne zabrało ciało skazańca i pogrzebało je uroczyście i z wielką żalobą w cerkwi swojej.





IV.

„Szczęśliwe tryumfy.“

Pompa obchodowa. — Koronacja Zygmunta III. — Wyprawa chocimska. — Królewicz Władysław we Lwowie. — Pobyt Zygmunta III. — Powrót z wyprawy. — Władysław IV. — Jego »szczęśliwy przyjazd«. — Jadwiszka ze Lwowa. — Obchód zwycięstwa nad Moskwą i pokoju. — Obchód żałosny. — Wesele Władysława IV

Przyjęcie Stefana Batorego uważać można za typ uroczystości, urządzanych we Lwowie, na przyjęcie królów polskich i szablon, do którego stosowały się czasy późniejsze, dodając tylko charakterystycznej, barokowej napuszystości. Była zaś ta napuszystość i pompa tem większą, im mniej było już żywotnej treści, bogactwa i znaczenia w stanie mieszczańskim. Od czasów Stefana Batorego z małymi tylko zmianami powtarza się ta sama parada, te same orszaki zbrojne wychodzą naprzeciw króla, te same dzwony, wystrzały armatnie towarzyszą jego wjazdowi, tylko więcej ogni sztucznych w siedemnastym wieku spalano, huczniejsze były te strzały armatnie, a ponadto stosy drzewa i słomy palono na ulicach dla wywołania, bardzo zresztą niebezpiecznego dla niezaopatrzonych od ognia budynków, efektu iluminacji, bywały barokowe trans-

parenty, barokowe festyny. Większa pompa, poza panegiryczna nadętość, w stylu swojego wieku, witała królów u bram Lwowa. Minęły czasy powagi i dobrego smaku, objawiającego się w pewnej, aczkolwiek bogatej i wystawnej nawet prostocie, gustu pospółstwa miejskiego począł się gwałtownie obniżać, szukać jaskrawych efektów. Nie wystarczały już poważne mowy, harce wojenne, bawiono więc naród wyścigami do mety pieszo i konno, sprowadzano trefnisiów dla wyprawienia pospółstwu różnych krotochwili, rozrzucono pieczone mięsiwo dla gawiedzi i t. p. wyprawiano historie, które Zimorowicz sumiennie notuje, jakby w dowód, że po trzech wiekach gawieź lwowska zostanie taką samą, rozwydrzoną, w tanich efektach rozmiłowaną, jak za jego czasów.

Rozwydrzenie to jednak w urządzaniu uroczystości nie było jeszcze tak jaskrawe, gdy Zygmunt III. wstępował na tron polski, a Lwów cieszył się z tego powodu, jak tylko mógł i umiał. Znowu bowiem w jednej z ksiąg rachunkowych miejskich znajdujemy entuzjastyczny opis wiernopoddańczej manifestacji z powodu wstąpienia na tron Zygmunta III. wraz ze szczegółowym wymienieniem wydatków na ten cel.

Już sam tytuł odnośnej zapiski brzmi z niezwykłą jakąś powagą i monumentalnością: »Triumph za szczęśliwym do królestwa polskiego przyjechaniem i koronowaniem Najjaśniejszego króla Zygmunta III. Pana naszego miłościwego, jest w tym mieście die 7. februarii obchodzony«.

Trzymając się ściśle samego opisu obchodu na uczczenie koronacji nowego króla, można odtworzyć szczegółowy, bardzo charakterystyczny obraz tego »triumphu«.

Oto naprzód uwiadomił urząd radziecki wszystkie stany i narody miasta, o odbyć się mającej uroczystości, oraz o jej terminie. Dnia tedy 7. lutego zeszło się rano całe pospólstwo do katedry, gdzie arcybiskup w otoczeniu liczego kleru odprawił nabożeństwo i »tamże wszyscy dzięki czynili P. Bogu wszechmogącemu, za to osobliwie, że nam raczył z łaski swej świętej nowo obranego króla J. M. w dobrym zdrowiu, szczęśliwie na stolicę Jego, po naszym strapieniu, z wielką pociechą sprowadzić«.

Po nabożeństwie odbyła się w koło rynku procesja z monstrancją, »z śpiewaniem i z muzykami różnemi wesołemi, z okazowaniem zbrojnych osób, mieszczan wszystkich, tudzież i służebnych miejskich, którzy tych niebezpiecznych czasów stipendia brali«. Ostatni zwrot odnosi się do siły zbrojnej, utrzymywanej przez miasto w niebezpiecznych czasach bezkrólewia, a występ jej w uroczystości koronacyjnej oznaczał zarazem koniec jej czynności i pożegnanie z miastem. Ponadto były w czasie tej procesji »i strzelby rozmaite wypuszczane i kunszty, jakowe być mogli in gratulationem hanc, okazowane byli«.

Żywy i czynny udział w całej uroczystości wzięli również Kozacy niżowi, których sprowadzono na wojnę z pretendentem do korony polskiej arcyksięciem Maksymilianem, a którzy w znacznej części

stali po przedmieściach lwowskich. Otóż Kozacy ci »ochotnie i zgodnie obyczajem swym, jaką strzelbą tego tryumfu, aż do południa pomagali«. Co prawda uświetnienie uroczystości przez tego rodzaju kozackie efekty, kosztowało mieszczan lwowskich niemało strachu i obawy przed rabunkiem i nadużyciami burzliwych gości. Dlatego też dano ich dowódcy dwie baryły małmazji »względem pokoju ze strony tych kozaków«.

Punktem kulminacyjnym uroczystości był »tryumf wieczorny« odprawiony tegoż samego dnia, wieczorem, pod kierunkiem i nadzorem rajców miejskich Stanisława Gąsiorka i Stancl'a Scholca. Ci mianowicie »opatrując wieżę ratuszną, rozkazali cieśłom zbudować piątro, na którym muzykowie i trębacze swoją muzyką daleko słyszącą odprawiali i chorągiew z daleka widać było. Do tego zawieszono kratę wielką żelazną na łańcuchach, na której ogień wielki, ustawicznie gorejący zdaleka w nocy widać było«.

Równocześnie gdy pospólstwo bawiło się radośnie ową muzyką i ogniem, w kamienicy Guteterowskiej w rynku odbywała się wielka »wieczerza tryumfowa«, czyli po prostu nasz bankiet, na którym miasto gościło arcybiskupa, starostę lwowskiego, chorążego ziemi lwowskiej, dwóch panów Herburtów i wiele innych dostojnych gości. Zjedzono na tym bankiecie ryb za 2 złp., 14 kapłonów, 2 cieleta, 8 sztuk pieczeni wołowej za 1 złp. 15 gr., 2 zające za 20 gr., masła, powideł i miodowników 1 złp. 18 gr. Ponadto zapłacono »p. Matiaszowi aptekarzowi, za rozmaite korzenie, cukry

rozliczne i marcypany, lane świece woskowe i inne potrzeby na tę kolację 15 złp. 7 gr.* Napitek wreszcie wyniósł 2 beczki piwa, oraz półtory baryły i siedm garnców wina.

Sam Zygmunt III. nie śpieszył się bardzo do Lwowa, chociaż zatwierdził wszelkie jego dawne przywileje i przydał jeszcze nowych. Dopiero w trzydziestym trzecim roku jego panowania, dostało miasto po raz pierwszy zaszczytu oglądania jego oblicza i równocześnie po raz ostatni.

Było to w r. 1621., w czasie owej ogromnej wyprawy na Turków, która zakończyła się wiekopomnem zwycięstwem pod Chocimem i uratowała Polskę i chrześcijaństwo.

Już od lutego spieszyły na tę wyprawę wojska polskie. Droga wypadła im przez Lwów, więc przed ołtarze tutejszych świątyń niosły te zastępy modły błagalne o zwycięstwo, o zdrowy powrót do zagród swoich rodzinnych.

Zatrzymał się we Lwowie stary, schorzały, a wielki i potężny Karol Chodkiewicz z Litwinami, Stanisław Lubomirski, polecający siebie i swoje zastępy opiece błogosławionego Jana z Dukli w kościele Bernardynów. Nie było dnia, w którym by nowe jakieś oddziały wojskowe nie przechodziły przez Lwów, a miasto uginające się pod ciężarem stacji i popasów wojskowych, patrzyło z dumą, radością, a zarazem i nadzieją na dumne znaki rycerskie, przysłuchiwało się wojennej muzyce trąb i litaurów*).

*) Zimorowicz str. 183. i dalej.

Nareszcie w połowie sierpnia stanął we Lwowie królewicz Władysław na czele wojsk zaciężnych, zdążających pod Chocim. Czasy były wojenne, wojennie też wypadło powitanie gościa. Całe uzbrojone mieszczaństwo wyruszyło naprzeciw Władysławowi daleko hen za miasto, przedstawiając barwny i marsowy widok. Na przedzie, na czele zastępów jezdnych, jechali »optymaci« i patrycjusze, za nimi piechota miejska, cechy z dwudziestu czterema sztandarami, a w końcu młodź ormiańska, dzielna, z wyglądu podobna do Turków, całemu przyjęciu królewicza, idącego na wojnę z Turkami, nadawała aktualnej barwy i stanowiła niejako przedsmak turecki. Niskie turbany perskie, długie szaty i szerokie tureckie »hajdawery«, uzbrojenie wschodnie i wschodnie harce, wyprawiane na polu, przed rycerskim królewiczem, przeciągnęły się długo i opóźniły znacznie wjazd do miasta.

Nad wieczorem dopiero nastąpiło uroczyste przyjęcie w samym mieście, a równocześnie wojska przybyłe z królewiczem, przeważnie zaciężne niemieckie, rozlokowały się na Wulce Kampianowskiej, w okolicy dzisiejszej cerkwi św. Piotra i Pawła na Łyczakowie i wyżej. Żołdactwo bardzo było ciężkie dla kolonistów tamże mieszkających i dopuszczało się różnych nadużyć. Między innemi, zburzono z psoty wiatrak, stojący na górze w pobliżu dzisiejszej rogatki, z czego zabobonne pospólstwo wróżyło głód, którym Pan Bóg miał ukarać tych, co nie umieli poszanować chlebodajnego młyna. Sam zresztą wiatrak został niebawem odbudowany i zasłynął później w lokalnej topografji, jako »młyn djabelski«.

Królewicz bawił w mieście przez dni kilka, przyjmowany uroczyście i darzony upominkami. Między innymi wystąpili także Rusini w mieście mieszkający, z bogatym darem od siebie w formie kobierca dyftykowego za 115 złp., chustki indyjskiej złotem tkanej za 50 złp. i sztuki złotogłowiu za 59 złp. 18 gr. Marszałek królewicza Kazanowski otrzymał od Rusinów w darze dwie skóry safianowe za 12 złp. 8 gr.*)

W samem mieście z wielką paradą na powitanie królewicza wystąpili po raz pierwszy Jezuici**) których kościół stojący na miejscu dzisiejszem, niezupełnie był nawet jeszcze wykończony. Przystrojono go też z całym jezuickim współczesnym gustem, symbolicznemi wyobrażeniami przodków, wraz z całą malowaną genealogją Wazów, tak od strony szwedzkiej, jak pokrewieństwem z Jagiellonami i Habsburgami.

Królewicz wraz z całym dworem zwiedził kollegjum i kościół, gdzie go Jezuici witali z całą pompą przemówieniami, wierszami, muzyką. Na powitanie zaś odpowiadał imieniem królewicza, podkanclerzy.

Wreszcie po kilkudniowym pobycie, ruszył Władysław na czele 6.000 wojska na wschód. Coraz częstsze ataki podagry, trapiły go na tej drodze, aż wreszcie w obozie legł na łożu boleści, złożony niemocą. Po jego wyjeździe wciąż jeszcze przechodziły wojska przez Lwów, a niebawem rozeszła się

*) Zubrzycki str. 225.

**) Kodeks Wielewicza str. 141.

wiadomość, że i sam król Zygmunt III. przybywa do Lwowa.

I rzeczywiście z początkiem października stanął król na polu, przed cerkwią św. Jura, gdzie właśnie zbierało się pospolite ruszenie szlachty. Dzień był jesienny, słotny, a przyjazd królewski, nie zapowiedziany dokładnie, opóźnił się aż do wieczora. Orszak mieszczański czekał więc na niego, na słońce przez cały dzień na placu św. Jura. Wreszcie nad wieczorem nadjechał król, a powitany stosownem przemówieniem przez burmistrza współczesnego sławnego dra Marcina Kampiana, wjechał przez świetnie iluminowaną bramę halicką do miasta i udał się wprost na Niższy Zamek, gdzie miał zamieszkać. Wilgoć jednak i niewonne wyziewy z Pełtwi zniechęciły króla zaraz do tego stopnia do komnat zamkowych, że zaraz dnia następnego rano przeprowadził się do kamienicy arcybiskupiej w rynku (dziś rynek l. 9.) Odtąd już żaden z późniejszych królów nie mieszkał na Niskim Zamku, a komnaty królewskie tamże opustoszały. Wogóle sądząc z lustracji Zamku Niskiego z r. 1570*), apartamenty mieszkalne królów polskich, nie odznaczały się ani wygodą, ani świetnością. »Izba królewska, przed nią sala, sień wielka i komnata, przed salą izba krzywa i sień nad kancelarją« — oto cały prywatny apartament królewski. Lepszem już, chociaż jeszcze w tych czasach również nie świetnem pomieszczeniem dla królów była wspomniana arcybiskupia kamienica. Dopiero bowiem w r. 1630. arcy-

*) K. J. Heck: Pomniejsze źródła... Stryj 1890.

biskup Stanisław Grochowski zbudował pałac o 68 pokojach i dwu dużych salach. Ale i stary pałac aczkolwiek mocno podupały, miał tradycję siedziby królewskiej, jeszcze od czasu Władysława Jagiełły, który tutaj po dwakroć w czasie swoich pobytów przemieszkiwał.

Do arcybiskupiej więc kamienicy, dążyły hołdownicze deputacje, tutaj przyjmował Zygmunt III. mieszczan z pokłonami i darami. Między innymi przynieśli Rusini dwa sute perskie dywany za 185 złp., złotogłowiu dwie sztuki, czerwoną i zieloną za 87 złp. 8 gr., a pokojowemu królewskiemu, staroście Solskiemu, kobierzec za 25 złp.

Najbliższej niedzieli słuchał król uroczystego nabożeństwa w katedrze, na którym głosił kazanie ks. Walenty Groza, który z faktu, że stary Chodkiewicz i królewicz Władysław leżeli chorzy w obozie, nie wróżył Polsce zwycięstwa, czem nie małego strachu napędził królowi i jego dworowi. Na drugi dzień, mimo ulewnego deszczu odwiedził Zygmunt Jezuitów, dążąc pieszo w otoczeniu swego dworu do ich kościoła.

Przez dwanaście dni swego pobytu we Lwowie, oddawał się Zygmunt III. przeważnie praktykom religijnym, prosząc Boga o zwycięstwo nad Turkami, bądź też pieszo w otoczeniu orszaku swego, rajców miejskich i przedniejszych mieszczan zwiedzał miasto, a głównie kościoły. Król esteta, trudniący się w wolnych chwilach artystycznym złotnictwem, sam o wysoko wyrobionym smaku artystycznym, krytykował lwowskie budownictwo bardzo ostro. Między innymi oglądając kościół

Bernardynów, wytknął dwa zasadnicze błędy jego architektury, a mianowicie, że część absydjalna kościoła nie odpowiada całemu wyniosłemu korpusowi, powtóre, że front, to jest górna fasada zwrócona ku miastu niezachowuje symetrii między swemi częściami, gdyż wybiega w zanadto ostry szczyt.

Rzeczą architektów byłoby ocenić o ile sąd króla Zygmunta III. był trafny, sam on jednakowoż w kilka dni później, dowiedziawszy się o zawarciu chlubnego pokoju wrócił do Warszawy. Niebawem też wrócił do Lwowa królewicz Władysław schorzał, niesiony w lektyce. Domownicy i giermkowie jego niegdyś na wspaniałych koniach, wlekli się za nim pieszo. Nadciągnęło wojsko, głodem i chorobami strapione do ostateczności. Był to szereg trupów, jak powiada Zimorowicz*), nędznych, obdartych i schorzałych, którym nie wodzowie, lecz śmierć przewodniczyła. Niedobitki te schorzałe schroniły się przed deszczem w podsieniach domów i marły przy kromce wyżebranego chleba. Zlitowało się miasto nad losem biednych żołnierzy, tych samych zaciężnych Niemców, którzy zburzyli z psoty ów młyn djabelski na Łyczakowie, rozmieszczono żyjących jeszcze po szpitalach, a umarłym pogrzeb przyzwoity sprawiono. W samym szpitalu św. Łazarza, umarło wówczas więcej, jak 2000 ludzi. Nie czas był więc w tej ciężkiej chwili na zabawy i uroczyste przyjęcia. To też jedyni tylko Jezuici**)

*) Zimorowicz str. 186.

***) Wielewicz r. 1621.

urządzili na cześć królewicza przedstawienie teatralne. Odegrano sztukę na tle klasycznym, p. t.: »*Aemilianus Scipio Triumphator*«, z licznymi alluzjami do osoby królewicza i odniesionego zwycięstwa, ale ten chory nie przybył na to »teatrum« i wysłał tylko na przedstawienie swoich dworzan.

Po raz drugi przyjechał Władysław IV. do Lwowa już jako król, dnia 26 września 1634. Była wtedy chwila wielka, potężna urokiem jaśniejącej całą wojenną chwałą Rzeczypospolitej, przed którą korzyły się ludy, z którą przymierza szukali i pokoju monarchowie. Car Moskwy Michał Fiedorowicz, upokorzony — tatarstwo zgniecione pod Sasowym Rogiem, basza Widdynia Abazy miał dać niebawem gardło pod stryczek sułtański, za samą chęć narażenia Amurata IV. na wojnę z Polską. Dwór turecki godził się na wszystkie żądania, gotowej do boju Rzeczypospolitej, a Władysław IV. chodził w jasności wielkiej i chwale — on, wódz niezwyciężony, monarcha dobry — drugi »król chłopów« i uciśnionych. Zachodzące już nad Rzeczpospolitą słońce rzucało na nią jeszcze ostatnie, promienne blaski — kwitł okres »szczęśliwości«, dobrobytu, wielkiej myśli obywatelskiej, potężnego ramienia hetmanów, złotego pióra statystów.

W takiej chwili podniecenia ducha narodowego rozeszła się po Lwowie wiadomość, że w mury jego zjedzie niebawem ów potężny, a dobry monarcha*).

*) A. III. 31 z r. 1634. — K. J. Heck: »Pobył Władysława IV. we Lwowie«. Lwów 1887.

Zadrgały więc serca mieszczkańskie całą miłością i mocą przywiązania do tronu królów polskich, a w samym mieście zawrzało od gorączkowych przygotowań na przyjęcie dostojnego gościa.

Punktem środkowym uroczystości powitalnych miała być brama tryumfalna zwana »portykiem« lub »łukiem tryumfalnym« (*arcus triumphalis*), do sporządzenia też jej przystąpiono przedewszystkiem. W tym celu wybito kawał muru fortyfikacyjnego w okolicy »cekhauzu« miejskiego, a w uczynionym w ten sposób wyłomie, rozpoczął przedsięwzięcia Anzelm Świątkowicz ustawiać owe arcydzieło dekoracji, kunsztu i artyzmu lwowskiego. Czoło jego zajmował dużych rozmiarów »konterfekt wojny moskiewskiej« wymalowany na dwu librach papieru czerwonego i 4 librach papieru białego. Na około tego obrazu grupowały się herby, malowane złotem i srebrem przez Stanisława, malarza, przedewszystkiem »Snopek« domu królewskiego Wazów, dalej orły Rzeczypospolitej, herby województw i lew lwowski, wszystko to na tle »emblematów« wydrukowanych na trzech łokciach materji jedwabnej, tafty i na tyłuż łokciach kitajki ceglastej, reszta zaś na białym papierze, który kosztował 5 złp. Drukiem tych »emblematów« zajął się jedyny współczesny drukarz lwowski Jan Szeliga za cenę 4 złp. Ponieważ jednak na ratuszu zapomniano przeprowadzić dokładną korektę, a drukarz »się był pomyleł«, musiano cały nakład drukować na nowo, co pociągnęło za sobą dodatkowy koszt 3 złp.

Boczne ściany portyku obite były płótnem, przytwierdzone do belek zapomocą ćwieczków

i sznurów, na szczycie zaś powiewała barwna grupa malowanych chorągwi.

Jeżeli jednak dziś narzeka się na wandalizm publiczności lwowskiej i brak poszanowania własności publicznej, to ta wada tradycjami swemi sięga widocznie XVII. w., gdyż z portykiem, wyżej opisanym, miał magistrat wiele utrapienia. Pominąwszy już silny wicher, który obdzierał draperje, publiczność lwowska a głównie hajduki i służba, dopuszczała się na nim różnych psot, do tego stopnia, że magistrat postawić musiał koło niego straż nocną, która zapobiegła dalszemu obdzieraniu płótna i wandalizmowi.

Obok łuku tryumfalnego, dalszy efekt dekoracyjny stanowić miało drewniane rusztowanie, wystawione na samym szczycie wieży ratuszowej, po nad zegarem, z którego powitać miała króla wjeżdżającego uroczysta fanfara muzyczna i Matyscieśla, którego znowu zadaniem było powiewać dużą chorągwią z »bagazji ceglastej«, z wymalowanym herbem Wazów i Rzeczypospolitej.

Wśród tych przygotowań, zbliżał się dzień przyjazdu królewskiego coraz bardziej. Stanowniczy królewski Bogatko przyjechał już celem wyszukania odpowiednich kwater dla orszaku królewskiego, trzeba też było znaleźć odpowiednie mieszkanie dla samego króla, tembardziej, że Zamek Niski był już zupełnie zdyskredytowany wyziewami z Pełtwi, a kamienica arcybiskupia była rozebrana przez arcybiskupa Grochowskiego. Jedynym domem mieszczkańskim, z pałacową, istic magnacką cechą była kamienica, zbudowana przez słynnego Greka z Kan-

dzi, Konstantego Korniakta (późniejsza kamienica królewska w rynku l. 6) i na nią też padł wybór, jako na godne pomieszczenie króla. Mimo jednak obszernych komnat, z których Jan Sobieski zrobił później stałą swoją rezydencję, kamienica ta wydała się jeszcze za szczupłą dla licznego orszaku królewskiego, wobec czego musiano wybić drzwi do dwóch sąsiednich kamienic Szembekowskiej i Bernatowiczowskiej (dziś rynek l. 5 i 7) i w ten sposób połączywszy razem trzy kamienice, urządzono na pierwszym piętrze apartamenta dla króla i jego dwu braci Aleksandra i Jana Kazimierza, którzy z nim razem mieli przyjechać.

Wyczyszczony ze śmiecia i słomy rynek, lew kamienny, strzegący wejścia głównego do ratusza, pomalowany przez wspomnianego już Stanisława malarza, za skromnem honorarjum 7 groszy, dopełniły przygotowań, a jeden z miejskich dygnitarzy wysłany do proboszcza w Janowie i sekretarza królewskiego, celem »naradzenia się nad sposobem przyjęcia« — przywiózł zdaje się bliższe informacje co do charakteru, usposobienia i nawyknień Władysława IV., którego każde życzenie wyprzedzić postanowiło sobie mieszczaństwo. Nawet baldachim wyłaczany, jedwabny, z jedwabnymi frędzlami i mośiężnymi guzikami i gałkami, pod którym miano wprowadzić króla do miasta, robił się pospiesznie w kościele św. Ducha — brakło tylko muzyki.

Z pewną ujmą dla muzykalności mieszkańców współczesnego Lwowa trzeba przyznać, że ustalenie jakiego takiego muzycznego programu na przyjęcie Władysława IV., podobnie jak jeszcze za Stefana

Batorego, było bardzo trudne. Jedyńy muzyk, żyjący podówczas we Lwowie, niejaki Orzeł skomponował wprawdzie kantatę na przyjęcie króla p. t. »Echo correspondens«, ale kantaty tej nie miał po prostu kto zagrać. Wysłano więc na gwałt po orkiestrę aż do Żółkwi, i w samą wigilję przyjazdu królewskiego stanęła przed ratuszem jedna »furmanka«, z której wysypała się cała kapela, razem z instrumentami muzycznymi i wszystkimi tobołami podróźnymi. Widać więc już z tego, że nie była to orkiestra pierwszorzędna, a zresztą nawet się sama za taką nie uważała, skoro za całe trzy dni zajęcia zgodziła się na bardzo skromne honorarjum w kwocie 20 złp.

Na widok tych żółkiewskich muzykusów, doznał przezacny urząd radziecki pewnych wątpliwości, ażali »banda« ta cokolwiek zagrać potrafi. Zrobiono więc naprędce generalną próbę »grania na ratuszu«, a że w ostatniej chwili nie było miejsca na zbyt ostrą krytykę, uznano, że próba wypadła nieźle, a dla pokrzepienia animuszu dano członkom kapeli »kontentacji« 2 złp. i 10 gr., »aby pilni byli przyjazdu króla JMci.

Ostatecznie nadszedł oczekiwany dzień 26 września. O godzinie dwudziestej drugiej, czyli według naszej rachuby czasu około godziny 4 popołudniu stanął orszak królewski pod Lwowem. Starym zwyczajem wyjechała naprzeciw niego konna kalwakata mieszczańska daleko za miasto, gdzie nastąpiło pierwsze powitanie.

Tymczasem u bramy tryumfalnej czekał dostojnego gościa burmistrz miasta, Maciej Hajder na

czele rajców, duchowieństwo i tłumy ludu. Na kilkanaście kroków przed bramą wysiadł Władysław IV. z powozu i wysłuchał przemówienia burmistrza, który go powitał chlebem i solą, wręczając równocześnie na poduszce ze szkarłatnego adamaszku klucze miasta, związane sznurkami jedwabiu i wyłanczanym szychem. Król odpowiedział łaskawie, wstąpił pod przygotowany baldachim i ruszył pieszo, procesjonalnie prowadzony do miasta. Huknęły w tej chwili wszystkie działa na wałach i murach miejskich, zadźwięczały wszystkie dzwony kościelne, kapela grała owe »echo correspondens« jak tylko umiała najgłośniej, Matys cieśla powiewał radośnie chorągwią z wieży ratuszowej, trębacze miejscy otrąbiali światu radość wielką, a lud wznosił głośne okrzyki szczęścia i tryumfu.

Najpierw skierował król swoje kroki w stronę katedry, gdzie odśpiewano uroczyste »Te Deum«, poczem udał się wprost do przygotowanych dla siebie apartamentów.

Na drugi dzień zjawiała się na pokojach królewskich deputacja mieszczańska z darami. Ofiarowano dwa złote dzbany z nakrywami wartości 1212 złp., a królewiczom Janowi Kazimierzowi i Aleksandrowi dwa złote puchary za 462 złp. i 366 złp. Król przyjął deputację uprzejmie i wyrządził mieszczaństwu ten zaszczyt, że osobiście, wraz z całym dworem zasiadł do stołu razem z nimi, na bankiecie urządzonym w kamienicy Marcina Groszajera, kosztem 800 złp.

Oprócz tych darów honorowych poszło do kuchni królewskiej 6 wołów, beczka wina, mnóstwo

ryb, rodzynek i innych korzeni, dwór zaś królewski otrzymał również specjalne podarunki

Przez miesiąc bawił Władysław IV. wówczas we Lwowie, a pobyt jego okazał się błogosławionym tak dla mieszczan, jakoteż i dla przedmieszczan. Posypały się jak z rogu obfitości przywileje dla miasta, dla kupców i rzemieślników, sam król brał udział w pracach komisji, mającej urzeczywistnić niepraktyczny i niewykonalny pomysł mieszkańców halickiego przedmieścia, którzy na wzór Kazimierza pod Krakowem zapragnęli przedmieście swoje otoczyć fortyfikacjami i uczynić zeń nowe miasto.

Równocześnie ostateczny pokój z Turcją doszedł do skutku, a skoro goniec turecki przyniósł do Lwowa wiadomość, że Turcja godzi się na wszystko, byleby uniknąć wojny z potężną Rzeczpospolitą, zagrzmiały działa na murach miejskich nowym tryumfem, a całe miasto zajaśniało wspaniałą illuminacją.

Poczucie siły i potęgi, duma narodowa rozpie-rała serca mieszczan lwowskich, a poczuciu temu dał panegiryczny wyraz poeta, późniejszy burmistrz i chluba Lwowa, Bartłomiej Zimorowicz, w okolicznościowym, napisanym wówczas, utworze p. t. »Vox Leonis«.

Mniej szczęśliwym był pobyt Władysława IV. dla rodziny królewskiej. Królewicz Jan Kazimierz zachorował tutaj na ospę, brat jego, dwudziestoletni Aleksander zaraził się tą straszną chorobą u łóża chorego i zmarł w powrocie do Warszawy.

Odosobniony od rodziny szukał Władysław IV. rozrywek, jakie tylko w ówczesnym Lwowie były

możliwe i być może, że w czasie tego to pobytu swego we Lwowie trafił na .. miłość, która kochliwe serce królewskie trzymała w uwięzi, aż do samego jego ożenku z Cecylią Renatą. Ideałem tym królewskim stała się niejaka Jadwiga Łuszkowska, zwana familiarnie Jadwiszką ze Lwowa, a półurzędowo »Panią Jadwigą ze Lwowa, Faworitą J. K. Mci Władysława IV.«. Przymioty osobiste tej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, mieszczi lwowskiej, jej wyższy polor, elegancja, piękność sprawiły, że król przywiązał się do niej istotnie, nawet synowi z tego stosunku, dał swoje rodowe nazwisko, Konstantyn de Waza, a kiedy ostatecznie w trzy lata później musiał wprowadzić na tron królewski Cecylię Renatę, nie rzucił Jadwiszki po prostu, ale wydał ją za mąż za niejakiego Jana Wypyskiego herbu Grabie, chorążego nurskiego i starostę mereckiego. Sam podobno oddawał ją na weselu oblubieńcowi, przyczem mowę weselną, niezwykle charakterystyczną dla obyczajów współczesnych i ciekawą, wygłosił podkomorzy przemyski Jakób Maksymilian Fredro*).

Nietylko jednak sam pobyt Władysława IV. we Lwowie wywoływał szereg entuzjastycznych manifestacji, wybuchały one z wielką siłą także na każdą wiadomość o nowej chwale, okrywającej skroń królewską, lub o radosnym wypadku w jego rodzinie. Nie żałowało miasto pieniędzy na uświetnienie tego rodzaju chwil, a sumienność ówczesnych pisarzy

*) Rękopis Bibl. Ossol. nr. 240 str. 91 por., także »Tydzień« nr. 1 z r. 1906.

miejskich w notowaniu wydatków na ten cel poniesionych, pozwala na przybliżone przynajmniej odтворzenie pomysłów dekoracyjnych dawnego miészczanstwa*).

Tak naprzykład »triumph szczęśliwego zwycięztwa przez Najjaśniejszego Władysława IV., króla polskiego, pana naszego miłościwego, w ziemi moskiewskiej otrzymanego« kulminował w dużych rozmiarów »obrazie wojny Króla JMci i moskiewskiego wojska«. Obraz ten namalowany był na 5 1/2 arszynach płótna, farbami olejnymi i wspólnymi siłami kilku malarzy lwowskich, którym miasto, dla podniesienia natchnienia nie szczędziło miodu, ani ryb. Wypili też artyści przy malowaniu 13 garncy miodu, ale też za to obraz, okręcony choiłą i spuszczone na sznurach z okien izby lonherskiej na ratuszu »dla widoku publicznego« musiał się prezentować okazale.

W dniu obchodu odprawiono w katedrze »wotywę triumfalną«, po której »kaznodzieji jezuickiemu względem kazania dano 2 garnce wina«, młodzieńcom zaś szkolnym, którzy spiewali »Te Deum« na wieży ratuszowej, honorarjum wypłacił sam burmistrz. W procesji uroczystej na około rynku, wystąpili rajcy, z białymi świecami, cechy i cała siła zbrojna miasta. Trąbili trębacze na wieży ratuszowej, dniem i nocą, sama muzyka i »różni spiewacy« kosztowali 16 złp., wypuszczono mnóstwo rac ognistych, sporządzonych w arsenale miejskim, a na bankiecie zjedzono między innymi nie mniej nie więcej tylko 25 tafli piernika.

*) A. III. 31.

Jeszcze zapewne żyły wspomnienia tego tryumfu w pospólstwie, gdy już wypadł »wtóry triumph pojednania króla JMci z Moskwą«. Podczas tego tryumfu odprawionego również w r. 1634, dwie rzeczy budziły ogólną sensację we Lwowie. Pierwszą był »smok, którego puszczano po sznurach od sali ratuszowej górnej z orłem białym i ze światłem w lampach kilkudziesięciu«. Materji do tego smoka dostarczył dr. Jerzy Boim za 20 złp. Drugą atrakcją obchodu była »osoba malowana Króla JMci« osadzona w oknie ratuszowem i przybrana w złotogłów, staraniem żaków szkolnych, którzy za swoją fatygę otrzymali 24 gr. wynagrodzenia. Przez całą noc strzelano w ratuszu z 30 hakownic na wiwat, palono stosy słomy na ulicach, spiewano »Te Deum« z wieży ratuszowej, huczały wszystkie działa na wałach, a cały tryumf kosztował 364 złp. 26¹/₂ gr.

Mniej trochę, ale zawsze znaczną sumę 25 złp. 7 gr. kosztował »obchód żałosny«, urządzony z powodu śmierci »Najjaśniejszego nieboszczyka królewicza Aleksandra« — największy zaś tryumf wyprawiało miasto w r. 1637 w czasie wesela Władysława IV. z Cecylią Renatą.

Tryumf ten obchodzony był dnia 13. września 1637 r. a treścią jego, jak zwykle na weselach, był bankiet, około którego obracała się reszta okolicznościowych uroczystości. Zaznacza to nawet tytuł odnośnego rejestru wydatków*), który powiada... »akt wesela K. J. M. odprawował się, pod który czas i dzień miasto Lwów bankiet, na którym Jegomość

*) A III. 32 str. 142.

Arcybiskup i Kapituła i inszy Ichmoście, także ordines miasta tego byli, sprawowało i takie ekspensa wydało:«.

Była więc przedewszystkiem wywieszona na ratuszu tablica w drewnianych ramach z namalowanym złotymi literami imieniem królowej, a otoczona innymi obrazami, pozawieszanymi na »stryczkach« — było dalej strzelanie z armat na wałach miejskich, była uroczysta wotywa w katedrze i produkcja muzyczna ze szczytu wieży ratuszowej, gdzie grali trębacze i »sałamaści«. Wieczorem zapłonęły stosy drzewa na ulicach, a pan Massary, dla większej uciechy gawiedzi puszczał race ogniste z żelaznych rurek, których sporządzenie kosztowało 7 złp. 3 gr.

Bankiet odbył się w sali ratuszowej udekorowanej, jak należy przypuszczać, świetnie, skoro do przytwierdzenia tych dekoracji użyto 700 świeczków. Ponadto przyozdobioną była sala w jakieś »osoby rzezane« — widocznie rzeźby figuralne, które w czasach powszednich przechowywane były w arsenale miejskim.

Urządzeniem obiadu, a głównie ugotowaniem potraw zajęły się panie z miasta, mieszczanki, które przez cały wieczór w sobotę (bankiet bowiem odbył się w niedzielę) pracowały w kuchni, zakrapiając obficie żar kuchenny piwem, którego im dostarczył magistrat. Główny nadzór kuchenny spoczywał w wytrawnych rękach kucharza arcybiskupiego i pasztetnika, wypożyczonych specjalnie na uroczystość, pomniejsze zaś roboty wykonywała... policja miejska, a między innymi Adam, cepak (policjant)

»obracał pieczyście i kucharzom pomagał robić«, za co otrzymał specjalne honorarium w kwocie 1 złp.

Trzy fury drzewa spalono w kuchni, dla przyrządzenia całego menu obiadowego, o którym pojęcie dać może następujący spis zużytkowanych wiktuałów, które wyliczamy w ślad za rachunkami: Zjedli mianowicie goście podówczas: 3 ćwierci wołu, 20 kapłonów, 25 kurcząt, 7 gęsi, 4 kaczek, 3 zające, półtora cielęcia, 5 ćwierci flaków i kiszek, 4 prosięta, przyrządzone na grochu i słoninie, jednego barana, 3 indyki. Były dalej główki cielęce i głowy wieprzowe, kasza pieczona na mleku. Sam łój do potraw kosztował 5 złp. 22 gr. a oprócz tego wyekspensowano 2 faski masła, soku wiśniowego za 12 gr., powideł i piernika za 1 złp. 13 gr., pół garnca miodu przaśnego, rzepy za 7¹/₂ gr., pietruszka, marchew, chrzan i cebula kosztowały razem 1 złp. 40 gr., ocet piwny 24 gr. Sam aptekarz Kasper Józefowicz wziął za korzenie, cukry i pasztety 86 złp. i 6¹/₂ gr., nie licząc pracy pasztetnika arcybiskupiego, który samego papieru do pasztetów wyekspensował za 10 gr. Na wety podano jabłek, orzechów i śliwek za 1 złp. 26 gr., winogron za 1 złp. 10 gr. i sera za gr. 12., ziele zaś do ubrania stołu kosztowało wszystkiego 7 gr.

O wiele poważniejszą rubrykę stanowił napitek. Wypito mianowicie podczas uczyty 50 garnców wina węgierskiego, 17 garncy jakiegoś wina kotnarskiego, 2 beczki piwa żółkiewskiego, co wszystko razem kosztowało 200 złp. Wielkie również pragnienie posiadali muzykanci, którzy podczas całej uroczystości, a głównie podczas uczyty na ratuszu

grali. Czytamy bowiem następujące pozycje rachunkowe: »za piwo dla trębaczów 24 gr., za piwo dla salamaistów, którzy na wieży w nocy grali 24 gr., za piwo dla muzyków i trębaczów 1 złp. 10 gr., za 14 garncy miodu dla muzyków z rozkazania pana burmistrza 5 złp. 18 gr., za piwo dla różnej muzyki, cymbalistów, skrzypków, którzy na ratuszu po salach grali« i tem podobne wydatki świadczące, że świat muzyczny lwowski miał pragnienie, nie stojące w żadnym stosunku do jego produkcji muzycznych. Dodać wreszcie należy, że muzyka, która grała podczas bankietu, pożyczoną została również od arcybiskupa.

Po raz ostatni odwiedził Władysław IV. miasto nasze w r. 1646*) razem z nuncjuszem apostolskim. Witął go Lwów znowu uroczyście, nie spodziewając się może, że to ostatnia na długie czasy jego beztroskliwa radość.



*) Józefowicz: Kronika m. Lwowa str. 77.



V.

Na śmierć i życie!

Jan Kazimierz i jego mieszkanie we Lwowie. — Kłopotliwe zaprosiny. — Pierwsza wizyta. — Pustki w kasie. — Król w stroju polskim. — Na łożu boleści. — Kazanie i awantura. — Sprawy państwowe. — Król między chłopami w Brzechowicach. — Uroczysty wjazd na deszczu. — Cichy pobyt. — Potop. — Przyjazd królewski. — Dworzanie i gwardja mieszczańska. — Śluby w katedrze lwowskiej. — Król prawie stałym mieszkańcem Lwowa. — Michał Korybut Wiśniowiecki. — Koronacja królowej Eleonory. — Pobyt pary królewskiej. — Tragiczna śmierć króla.

Wielką kartę w dziejach naszego miasta zapisały nieszczęścia Jana Kazimierza. Dwukrotna bohaterska obrona Lwowa przed najazdem Chmielnickiego, Tuhaj-beja i Buturlina, okryła mieszczaństwo Lwowa nieśmiertelnym wieńcem wawrzynu, nieustraszona wierność, którą miasto zachowało w najokropniejszych czasach swemu królowi, wywoływała powszechny podziw w całej Polsce i takie zasypanie dziękczynnymi pochwałami, na jakie się tylko zdobyć umiało kwieciste i wyszukane słowo pisarzy współczesnych, frazeologia uchwał sejmu, senatu, urzędowych aktów.

A w chwale tej jasnej chodził lew lwowski, niby w złocistej aureoli, dunny, wspaniały, potężny. Wszystkie miasta polskie patrzyły na te olbrzymie

zapasy garstki mieszczaństwa z tysiącnymi zastępy nieprzyjaciół, na ten gród, co w samej prawie gardzieli wroga leżał a w tej gardzieli rezolutny był na śmierć i życie, jedyna ostoja, potęga, warowna skała, korab na falach wzburzonych potopu.

Ale jasny ten płaszcz chwały i wiekopomnej zasługi z trudnością już tylko osłaniał nędzę wewnętrzną i ciężkie rany lwa lwowskiego. Zniszczone po dwakroć za Jana Kazimierza przedmieścia bogate, ludne i zamożne, krociowy dwukrotny okup, handlowy zastój w ciężkim czasie ustawicznych wojen, a wreszcie te niezliczone exakcje, pobory niespłacane pożyczki, sprowadzały krok za krokiem ruinę miasta, której niestety polityka Rzeczypospolitej uchylić nie umiała i niechciała.

Mimo tego ekonomicznego upadku jednak, i mimo poczucia, że król mu w żaden sposób zapobiedz nie może, mieszczaństwo lwowskie przylgnęło do osoby nieszczęśliwego króla z całym poświęceniem, miłością i wiarą, gotową w każdej chwili oddać życie swoje i majątek w jego obronie. Historia obydwu oblężeń kozackich pouczyła, że poświęcenie to nie było czczym frazesem tylko, ale czynami zostało stwierdzone i to czynami, przechodzącymi zwykłą ludzką miarę.

Nic też dziwnego, że między wiernem mieszczaństwem, a nieszczęśliwym królem zadzierzgnął się stosunek jakiś niezwykle serdeczny i wylany, dziwnie przyjacielski i poufały. Od czasów Władysława Jagiełły nie było króla polskiego, któryby tak chętnie i często we Lwowie przebywał, nie było też króla, któryby tak osobiście, obok hołdów

wiernopoddańczych i materialnie nawet bywał wspierany przez lwowskie mieszczaństwo.

Wojny kozackie, które zapełniły znaczną część panowania Jana Kazimierza, wymagały z natury rzeczy częstej jego obecności we Lwowie, klęski spadłe na Rzeczpospolitą w czasie potopu szwedzkiego i zdobycia Warszawy, spowodowały znowu, że na chwilę Lwów stał się faktyczną stolicą Polski i siedzibą jej rządu, ta aureola wreszcie, która wykwitła na skroniach mieszczaństwa, objawy patriotyzmu nawet u ludu wiejskiego, zrodziły owe wiekopomne śluby w katedrze lwowskiej, śluby, na których się oparły wieki późniejszej pracy narodowej.

Rezydencją Jana Kazimierza stała, za każdego jego pobytom we Lwowie była, wspomniana już wyżej, arcybiskupia kamienica w rynku. Zbudowana na nowo i urządzona przez arcybiskupa Stanisława Grochowskiego, była istotnie królewskim pałacem, wraz z potrzebną ilością stajen, komórek, magazynów. Na pierwszym piętrze odznaczał się obok dwu dużych sal, pokój sypialny i drugi pokój, wykładany płatkowatemi, złocistemi ceglami, oraz kaflami, zwykle porcelanowym, czyli złotym pokojem zwany.

Po raz pierwszy weszło miasto w stosunek z Janem Kazimierzem w czasie jego wesela z Marją Ludwiką w maju w r. 1649 *) Nadszedł wtedy list do urzędu radzieckiego, z własnoręcznym podpisem

*) Szczegóły pobytów Jana Kazimierza we Lwowie zaczerpnięte z Zubrzyckiego, Józefowicza, Wielewicza i t. d.

króla i z zaprosinami na wesele. Zaproszenie to było dla miasta bardzo kłopotliwe, bo nie można było jechać z pustymi rękoma, a na prezenty nie stać było mieszczan, zrujnowanych doszczętnie dopiero co przebytem oblężeniem przez Chmielnickiego i Tuhajbeja. Zwołał więc urząd radziecki *ordines et nationes*, wszystkie stany i narody miasta, dla naradzenia się, co począć a głównie, celem obłożenia się podatkiem na prezent ślubny dla króla. Pospółstwo miejskie, zważając na ciężkie czasy, uchwaliło wybrać wszystkiego 100 dukatów, i tą sumą opędzić wszystkie koszty, połączone z weselem królewskim. Jednakowoż rajca Anczowski, wyznaczony delegat miasta, wstydził się jechać z tak marną kwotą, pomny na niedawny jeszcze dobrobyt miasta i na wspaniałe dary składane poprzednim królom. Poszachrowano tedy jakoś na ratuszu i wybrano większy podatek, co u podatników znowu burzliwe protesty wywołało i stało się przyczyną licznych sporów z gminą, tem bardziej, że Anczowski, już na samem weselu będąc, przekroczył znacznie preliminarz i narobił wiele nadprogramowych wydatków.

Jeszcze nie przebrzmiało zupełnie echo tej dość przykrej sprawy, gdy nadeszła do Lwowa wiadomość »że król jegomość, pan nasz miłościwy, tu, do Lwowa z wojskiem i gwardją swoją ma zawitać«. Było to po bitwie pod Zborowem w r. 1649., i po onej słynnej obronie Zbaraża, opisanej tak pięknie w Sienkiewiczowskim »Ogniem i mieczem«.

Wiadomość ta znowu sprowadziła kłopot pieniężny na magistrat. Wprawdzie, »wszyscy nie

przeczyli, że konieczność i honor, także miłość dobrych poddanych tego się napiera, aby należyty dar (o ile zdołać może wyniszczone miasto), tak godnej i szlachetnej osobie jego królewskiej mości panu i obrońcy swemu ofiarować nie omieszkało, ale ponieważ bieda była wielka, uchwalono pobrać tylko podwójny podatek domowy.

Zaledwie jednak zebrano ten podatek, na godne przyjęcie osoby królewskiej, aliści przyszła konieczność dostarczenia prowiantu wojsku królewskiemu pod Białym Kamieniem, kosztem 800 złp., tak, że gdy król przyjechał, ofiarowano mu w darze, brzęczącą monetą tylko 100 dukatów hiszpańskich, dla dworzan zaś jego kupiono 10 przedniejszych kobierców.

Wjazd odbył się 29. sierpnia, z największą możliwą pompą, przyczem przemówienie powitalne wygłosił znany, nam już rajca Anczowski, nawiasem powiedziawszy, właściciel przechowanej do dnia dzisiejszego kamienicy, t. z. »czarnej«, w rynku pod 1. 3. Król wyczerpany trudami obozowymi, wypoczął dni kilka w kamienicy arcybiskupiej, gdzie go też odszukali przywódcy siły zbrojnej w Zbarażu, którzy tyle cudów waleczności okazali.

Bohaterów tych, którzy męstwem swem nadludzkim zadziwiali całą Polskę, powitał król radośnie i w nagrodę rozdał pomiędzy nich wakujące urzędy. A mianowicie Firlej, naczelny wódz tego wojska, został wojewodą sandomierskim, Adam Sieniawski pisarzem polnym, Jeremi Wiśniowiecki otrzymał starostwo przemyskie, a Lanckoroński starostwo stobnickie.

W czasie pobytu swego we Lwowie rozstrzygnął król wiele sporów pieniężnych na korzyść miasta, oraz zapewnił mu tak ze swojej strony, jakoteż ze strony senatu w każdym urzędzie i sądzie protekcję, a w każdym niebezpieczeństwie pomoc i obronę. Miłościwemu więc panu nie szczędzili mieszczanie objawów życzliwości, a lekarze lwowscy wyrestaurowali zdrowie królewskie o tyle, że już 9 września mógł Jan Kazimierz wybrać się w dalszą drogę do Warszawy. Gdy się w podróż wybierał — powiada Józefowicz — zrzucił suknie niemieckie, które od dzieciństwa nosił i ubrał się po polsku. »Przyjemnie było patrzeć na to, tak Polakom, jak i naszemu miastu, które tem się chlubiło, że Kazimierza w ubiorze niemieckim, jako Niemca przyjęło, a króla polskiego jako zwycięzcę w polskim ubiorze do Polski z chwałą odesłało.« Nie omieszkał wreszcie Jan Kazimierz w czasie swego pobytu we Lwowie odwiedzić Jezuitów, u których zjadł śniadanie, o czem kronikarz tego zakonu, ks. Wielewicz z dumą wspomina.

W dwa lata później, po olbrzymiej bitwie pod Beresteczkiem w r. 1651 powitał Lwów Jana Kazimierza, tym razem . na łożu boleści. Po trudach obozowych król zapadł na febrę, tak, że go spiesznie przywieziono z zamku brodzkiego do Lwowa.

Choroba króla spowodowała odwołanie wszelkich uroczystości i wspaniałego »triumphu« powitalnego. Zbiegli się natomiast wszyscy lekarze lwowscy do łoża chorego i przedewszystkiem ówczesnym zwyczajem puścili krew królowi. Przerażenie jednak w świecie lekarskim było ogromne, gdy

krw. z otworzonej żyły ciec nie chciała, ale jakoś wszystko się dobrze skończyło, a lekarze, ile ich tylko było we Lwowie, kolejno przesiadywali u łóża królewskiego, aż do zupełnego wyzdrowienia.

Bogate łupy, zdobyte pod Beresteczkiem napełniły szczupłą zwykle kieszeń królewską obficie, tak że Jan Kazimierz mógł do woli popuścić wodze swojej hojności. Obdzielał więc wszystkich darami a głównie wdowy po żołnierzach, poległych pod Beresteczkiem. Dostał się przy tej sposobności także i Jezuitom lwowskim dar w kwocie 350 złp.

Ważne sprawy państwowe przywiodły króla do Lwowa zaraz roku następnego w czerwcu, a pogodę dni królewskich tutaj zamąciło słynne kazanie jezuitę ks. Seweryna Arwata T. J., który każąc w katedrze, w przytomności króla, królowej i senatorów, napadł osobiście na pierwszych dostojników kościoła, a nawet na samego arcybiskupa Krosnowskiego, co wywołało olbrzymi skandal i kwasy. Kapituła poczęła się gwałtownie naradzać nad ukaraniem śmiałka, a gdy wkrótce potem arcybiskup Krosnowski, podobno ze zmartwienia umarł, poczęto śmiałego kaznodzieję publicznie nawet prześladować. Również i dominikanie lwowscy ściągnęli na siebie gniew królewski z tego powodu, że niejakiego Wilczkowskiego, który wywołał przed samymi oknami królewskimi na rynku i w obecności króla, który właśnie wyglądał przez okno — burdę i zranił towarzysza swego Jordana — ukryli w swoim klasztorze i nocą wypuścili przez mury miasta.

W czasie tego pobytu, zjawiała się na pokojach królewskich osobna deputacja Rusinów, dla wyje-

dnania zniesienia pewnych rozporządzeń królewskich ograniczających przywileje drukarskie Rusinów. Deputacja przyniosła w darze królowi 50 dukatów, a przy sposobności otrzymał także kanclerz 20 dukatów, sekretarz 4 dukaty, niejaki pan Denhoff dwa, a pisarz jednego dukata.

Wśród tych spraw pomniejszych, rozgrywały się w kamienicy arcybiskupiej i inne ogólnopństwowe sprawy. Król naradzał się z senatem nad wojną kozacką, przysposabiał wypłatę żołdu dla wojska przy pomocy komisarzy Rzeczypospolitej, a wreszcie wspomagał hospodara multańskiego Stefana, który właśnie wtedy oblegał Suczawę, gdzie schroniła się dumna Rozanda, żona Tymoszka Chmielnickiego.

Nieszczęsna wyprawa żwaniecka, przywiodła Jana Kazimierza znowu, zaraz następnego roku 1653, do Lwowa, pod którym, a mianowicie na polach gliniańskich, zbierały się też wojska, niechętne bo nieopłacone, niekarne, obradujące ciągle z komisją mającą im obmyślić zapłatę. Wojska te dały się mocno miastu we znaki do tego stopnia, że jak powiadają księgi miejskie, ono »już w niwec, przez częstego, a wielce drapieżnego żołnierza, jest obrócone«.

Na wiadomość o zamierzonym przyjeździe królewskim, uchwały stany i narody miasta wybrać sześciokrotny podatek domowy, na przyjęcie króla, oraz na honorarja dla różnych dygnitarzy, którzyby mogli odwrócić od miasta ten straszliwy ucisk żołnierski.

Dnia 17. czerwca stanął król w Brzuchowicach, razem z całym dworem na chwilowy popas i tutaj zaszła prześliczna scena, która być może, stanowi genezę, złożonych później ślubów w katedrze lwowskiej. Na wiadomość, że król jest w pobliżu ruszyło się wszystko, co tylko żyło we wsi do stóp jego z radością niewysłowioną i szczęściem. Włościanie otoczyli kołem samego króla prosząc, aby przyjął od nich skromny, chłopski posiłek. Król zgodził się, zasiadł razem z gromadą do stołu i tak — powiada współczesny regens miasta Lwowa — »życzliwi i miłujący poddani, pana swego traktowali«. Była to jedna z nielicznych chwil wytchnienia i swobody Jana Kazimierza, ta chwila, którą przepędził z chłopstwem, był to radosny też dzień dla chłopów, że oglądali twarzą w twarz osobę króla dobrego, miłościwego pana, który nie prześladowuje, nie zdziera, który pomoc dać może i ratunek, a który zwykle tak daleko... tak bardzo daleko!

Przenocowawszy w Brzuchowicach, ruszył król dnia następnego, 18. czerwca, w stronę Lwowa, gdzie na jego przyjęcie wielkie czyniono przygotowania*), które niestety, deszcz rześisty w znacznej części zniweczył.

»Naprzód wjeżdżały — powiada współczesny świadek — przed królem w miasto karety i rydwany miejskie, które wysłano z ratusza naprzeciw, potem jechali przed królem Ormianie z buńczukiem, bardzo

*) Kallenbach: Pamiętnik Jana Golliusa, mieszczanina polskiego. Kraków 1891. str. 24.

pięknie przybrani, tak w konie, jak i w szaty z turecka. Potem za nimi mieszczanie, także i ruscy, ubrani z usarska, tak samo jako i konie w zbroje zakuci.

»Za nimi chorągwi kilka, dwie czy trzy, dragońskich na koniach, potem szła piechota z oficerami: ośm chorągwi spiśników (lancknechtów) ze spisami i w przyłbicach żelaznych, za tymi karet dwie czy trzy, potem dworzanie królewscy et id genus pacholeta i trębaczów pięć.

»Potem król w karecie sam na zadzie siedział a przed nim księżę Radziwiłł i wojewoda ruski Lanckoroński.

»Za królem, za kareta, jechało znowu pięć chorągwi dragońskich w błękitni. Z dział bito, ale z muszkietów nie strzelano, częścią dla deszczu, częścią z powodu komisji.

»Mieszczanie zaś piechotą z chorągwiami i porcami stali precz aż przed bramą i w ulicę. Baldachim też nagotowali byli rajcy, tabinowy, pozłocisty, który mieli nieść nad nim sami, ale dla niepogody dali pokój.

Nazajutrz deputacja miejska poszła do króla »zdobywszy się na przemowę, któraby majestat takiego mocarza ukontentowała« i dla mowców »imię niepospolitej mądrości wymogła«. Ale jakoś niebardzo dowierzali mieszczanie argumentom przemówienia, gdyż magistrat »ażeby mowa lepiej się wydała, prezent we złocie J. K. M. tamże zaraz ofiarował«.

Przez kilka dni, to jest do 25 czerwca dostarczali mieszczanie prowiantu na dwór królewski, a tegoż dnia »mało co z nami zamieszkawszy J. K. M. a pokwapiając się do wojska, mile nas sług swoich

pożegnał z prześwietną asystencyą dworzan i odważnych kawalerów«. Odjechał mianowicie wówczas Jan Kazimierz do Glinian, gdzie przyjmował posła moskiewskiego Buturlina, przybyłego z 300 jezdnyimi, a potem ruszył dalej, na bezskuteczną wyprawę przeciwko Kozakom pod Żwaniec.

Z powrotem stanął król we Lwowie w samą wigilię Bożego Narodzenia r. 1653. »Die 24 decembris — powiada wspomniany wyżej regent miasta Lwowa — Król Jegomość, pan nasz miłościwy nieznacznie, tylko w kilka koni, gdy nad zachodem stanęło słońce, około godziny dwudziestej drugiej (godzina 4 według dzisiejszej rachuby czasu) z obozu do miasta przyjechał.«

Miasto wystąpiło z darem w kwocie stu czerwonych złotych, poczem zaraz dnia następnego w Boże narodzenie »król jegomość jako w milczeniu do nas przyjechał, tak w milczeniu z jutrzeńką, do dnia od nas, pożegnawszy afektem swoim pańskim poddane swoje, wyjechał. Daj Boże, aby szczęśliwie«.

Przechodzimy obecnie do wspomnienia chwili, która historyków ogólnych dziejów Polski unosi w krainy uczucia, zaprawia ich pióro w słoneczne błyski, a kronikarzowi Lwowa, to chyba już każe blaskiem tęczy malować wypadki, wionąć na nie płomieniami aureoli, w hymn się rozplynać wiekuistej chwały.

To co się stało we Lwowie z końcem r. 1655 i z początkiem roku następnego drży bohaterskim porywem nawet w odległym wspomnieniu dziejowem, w 250 lat jest takie same wielkie i wiekopomne,

jak w wyobrażeniu współczesnych, niczego tam dodać ani ująć nie trzeba.

Dzieje znane, które krwią swoją i blaskiem, upadkiem i odrodzeniem porwały ku sobie największego mocarza polskiego słowa, autora »Potopu«. Zna każde polskie dziecko historję najazdu szwedzkiego, moskiewskiego, kozackiego, węgierskiego, zna dzieje tułactwa Jana Kazimierza i jego zwycięski powrót do ojczyzny, i jego wreszcie wiekopomne śluby.

Na falach tej dziejowej zawieruchy uniósł się Lwów w krainy szczytnego bohaterstwa, które zwiodło nań aż mistyczne blaski, uczyniło go stolicą całej Polski, miejscem poświęcanem, gdzie się počęło odrodzenie i jasne świty wolności. Tylko dlatego, że niestety dzieje naszego miasta tak bardzo mało są znane, a dzisiejsi mieszkańcy tak rzadko czerpią ze skarbnicy własnej przeszłości — stało się, że lokalny patryjotyzm nie rozpala się na ich wspomnienie uczuciem dumy, otuchy i nadziei.

W październiku i listopadzie r. 1655 wytrzymało miasto nasze oblężenie połączonych wojsk kozackich i moskiewskich pod wodzą Bohdana Chmielnickiego i Wasyla Buturlina. Oblężenie ciężkie, bo obok huku armat nieprzyjacielskich dochodziły do uszu oblężonych odgłosy walącej się w gruzy Rzeczypospolitej, upadek Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, pogrom hetmana wielkiego koronnego, ucieczka króla i to wszystko, co tylko odwagę odebrać mogło i serce zmiękczyć rezygnacją. Równocześnie od kwatery Chmielnickiego pod św. Jurem szły kuszące słowa łaski i protekcji, lub groźna pięść się

unosila z zapowiedzią i zemsty zniszczenia, po którym kamień nie zostanie na kamieniu.

Mimo to mieszczaństwo lwowskie nie odstąpiło wiary raz królowi polskiemu zaprzysiężonej. »Zdrowia nasze są w ręku Waszmość Pana — wołał Samuel Kuszewicz, rajca lwowski do Chmielnickiego — i tak już rozumiemy, że się z tego miejsca do swoich nie powrócimy, ale żebyśmy na imię cara moskiewskiego przysięgę i miasto oddawać mieli, tego nigdy nie uczynimy...» I nie uczynili przez całe siedm tygodni trwogi i chwały i wytrwali wtenczas, kiedy już prawie żadnej nie było nadzieji ratunku.

Toż kiedy wiadomość o tej wiekopomnej obronie rozeszła się po Polsce, jeden hymn chwały otoczył nasze miasto nimbem bohaterstwa, do niego też spieszyło wszystko, co tylko było jeszcze w Polsce myślącego o jej uratowaniu, a na czele Jan Kazimierz, przedzierający się przez zasyпы śnieżne z Opola na Śląsku, przez Węgry, na Krosno, Łańcut — prosto do Lwowa.

»Przyjście najjaśniejszego króla Jana Kazimierza pana naszego miłościwego, wszystkich nas jego wiernych poddanych weseliło, któregośmy jako ojca i dobrodzieja 10 F e b r u a r i i przywitali. Przyjechał do nas w małym bardzo poczcie, trzy chorągwie przy nim dragonii było i coś żołnierza naszego. Zamieszkał tu z nami niemal całą ćwierć roku, po przewodniej niedzieli pożegnał się z nami.« — Tak pisze regens miasta pan Stanisław Dobieszowski, a słowa jego, tchnące jakąś niezwykłą rzewnością, uzupełnić należy zniszczeniem i zubożeniem miasta,

po dopiero co przebytem oblężeniu. Przedmieścia spalone, zima ciężka i mroźna, pustki w kasie miejskiej, wycieńczonej opłatą okupu.

A i orszak królewski zdrożony był i ubogi. Nie było dworu, ani dworaków, ani pysznych paziów, ani fraucymeru, nie było pieniędzy w kasie królewskiej na pierwsze potrzeby... nawet na żywność. Strach pomyśleć, że król Polski, wielki ksiązę Litwy i jeszcze naonczas »król Szwedów, Gotów i Wandalów«... mógł głód cierpieć, być narażonym na osobistą nędzę i niedostatek..

Mógł być, ale nie był, bo oto zwartem go kołem otoczyło mieszczaństwo lwowskie. Nie było dworu, ani królewskiego orszaku? — więc poszli do kamienicy arcybiskupiej co przedniejsi mieszczaństwo, pełnić straż koło osoby królewskiej, dotrzymywać mu towarzystwa. Nie było pieniędzy na żywność? — więc się znalazły w kasie ratuszowej, a gdy i tam nie stało, nałożona na wszystkie targowe artykuły spożywcze akcyza szła na utrzymanie króla i jego otoczenia. Wspomina o tem Józefowicz, na podstawie opowiadania ludzi wiarygodnych, jak to wówczas »konsulowie i inni znaczniejsi obywatele, królowi, czy to w pałacu, czy w kościele towarzyszyli, dopokąd się liczniejsza nie zjechała szlachta i służbę przy boku króla, w pomyślniejszym dla siebie czasie, Lwowianom odebrawszy, sobie nie przywłaszczyła«.

W ślad za królem zjechali się do Lwowa najwyżsi dostojnicy świeccy i kościelni, arcybiskupi, biskupi, hetmani, nuncjusz apostolski, panowie, senat, tłumy szlachty. Tak było pełne miasto, że na

ulicach palono ognie, a przy nich koczowali na mrozie ci, co już w gospodach pomieszczenia nie znaleźli.

Napatrzył się Lwów w onym czasie wielkim i podniosłym dziwom wielu, strojom cudzoziemskim, mężom od krańca Rzeczypospolitej. Bawił tu wtedy poseł tatarski Subaghazi-bej z licznym poczem Tatarów, Siedmiogrodzianie i Węgrzyni od Rakoczego, poseł Rzeszy niemieckiej, a wśród obrad w pałacu arcybiskupim rozbiegali się na wszystkie strony świata gońcy i kurjerzy, sypały się manifesty, biegnąc po wszystkie wolne jeszcze grody całej Polski.

W takim mistycznie podnieconym nastroju, wywołanym obroną Częstochowy, wiernością mieszczaństwa, a nawet stanu chłopskiego dla króla, w podniesieniu się ducha narodu, krążyły wieści różne, niesprawdzone, nie mniej jednak pobudzające najtajniejsze drgania upośledzonych dotąd warstw narodu. Mówiono, że król dolę mieszczan i chłopów zamierza poprawić, że oto papież Aleksander VII. wielkie uczynił wzywianie do pokuty, pokajania się z grzechów dawnych, na świt sprawiedliwości.

Płynęły więc do miasta i tłumy chłopstwa, a chwila poczynała być... »dziwnie osobliwa«.

Nadszedł wreszcie dzień 1. kwietnia r. 1656. Była sobota, jasna, mroźna jeszcze, ale słoneczna. Zaraz rano piechota łanowa i pułk węgierski stanęły szpalerem od rynku do cmentarza katedralnego, obwiedzonego wówczas murem, z bramą wjazdową dla powozów od strony wschodniej. Przez szpaler ten poczęły napływać tłumy ludu zapełniając katedrę i klęcząc pokotem dokoła kapliczki Domagali-

czowskiej, w której znajdował się obraz Matki Bożej łaskami słynący.

Mała kapliczka, która przytykała do dzisiejszej absydy kościoła, oświetlona jarzącym światłem, błyszcząca stosami złota, pereł, drogich kamieni, blach srebrnych, które pobożne ręce znosiły jako wota, stała się w tej chwili punktem, na którym zogniskowały się wszystkie myśli i uczucia. Ten obraz malowany niezgrabną ręką geometry Scholc Wolfowicza, strapionego zgonem wnuczki, do którego stóp tuliła się w chwilach żałoby, nieszczęścia i smutku społeczność lwowska, miał owej soboty pamiętnej stanąć jako kolumna, rozpoczynająca nową erę i nowe życie dla całej Polski. Nic tedy dziwnego, że w tak ważnym momencie nie mogło się obejść, w wyobrażeniu współczesnych, bez jakiegoś cudownego zdarzenia. I rzeczywiście, jak powiada rękopis katedralny*), w wigilię dnia owego obraz cudowny jakoby się nieco poruszył na hakach, którymi był przybity, a w sam dzień uroczystości znalazł się znowu w tej samej pozycji, co zwykle. Wystarczyło to, aby dopatrzeć się znamion cudowności w tej, zawrzeć się mającej z niebem, konfederacji, a ogólne podniecenie rozdmuchać do najwyższego stopnia.

Tłumy więc ludu ogromne zapełniły cmentarz. Wszedł nań procesjonalnie urząd radziecki z reprezentacją wszystkich stanów i narodów miasta, cechy, zakony, procesje z barwistymi sztandarami. Potem

*) Inwentarz kaplicy Domagaliczowskiej — rękopis w archiwum kapituły lwowskiej.

zajeżdżać poczęły jedna karetą po drugiej, a z nich kolejno wysiadali prymas i arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów, kasztelanów — wszyscy ci, których uwieczniła ręka mistrza Matejki na obrazie przedstawiającym »Śluby Jana Kazimierza«.

A ot i on sam się zjawił w poszóstnej karecie razem z nuncjuszem apostolskim Piotrem Vidonim. Krzyk ludu go witał i sprezentowali broń żołnierze, kłoniły mu się sztandary bractw i cechów, a on rozmodlony, z jaśniejącymi zapalem oczyma na niepięknej twarzy, wysiadł. Zaczem zaraz dwu djakonów w złocistych dalmatykach zdjęło obraz cudowny z kaplicy i w uroczystym dokoła katedry pochodzie, wśród dźwięku dzwonów i huku dział wniesiono go na główny ołtarz katedry, gdzie nuncjusz Vidoni ubierał się już w biały, perłami sadzony ornat dla odprawienia nabożeństwa.

Zagrzmiały organy, główny ołtarz rozgorzał tysiącem świec i oblókł się dymem kadzideł, na którym smugami kładło się światło od gotyckich okien katedry, zachwiał się różnobarwny, strojny fioletami i złotogłowiem żupanów tłum i poczęła się służba boża.

Jan Kazimierz runął krzyżem na przodzie, przed samym ołtarzem. Słuchano kazania natchnionego, wreszcie ozwały się dzwonki na »Agnus Dei«, król przyjął komunię i wzruszony wstąpił na najwyższy stopień ołtarza.

W kościele zrobiła się cisza śmiertelna. Ani jeden szmer nie drgnął wśród tego ogromnego

zgromadzenia. Tysiąc oczu wpatrzyło się nieruchomo, z największą uwagą w osobę króla, który powstał, wyciągnął obie ręce przed siebie i mówić począł.

Słuchano w milczeniu, jak królestwo Polskie polecał opiece i protekcji patronki niebieskiej, jak dzień zwycięstwa Jej czci poświęcić obiecywał, a wreszcie:

»Ponieważ z wielkim bolem serca mojego poznaję, że za łzy i krzywdy włością w królestwie mojem Syn Twój, sprawiedliwy sędzia świata, przez siedm lat już dopuszcza na nas kary powietrza, wojen i innych nieszczęść: przeto obiecuję i przyrzekam oprócz tego, iż ze wszystkimi memi stanami po przywróceniu pokoju, wszelkich dla odwrócenia tych nieszczęść troskliwie użyję środków i postaram się, aby lud królestwa mego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony...«

Rozruch uczynił się w kościele wielki i płacz serdeczny złapał za gardło owo biedne, utrapione pospólstwo, a tymczasem na przedzie kościoła z łoskotem wielkim runęli przed sam ołtarz dostojnicy duchowni, świeccy i cała szlachta. Biskup przemyski Andrzej Trzebicki wstąpił na miejsce królewskie i donośnym głosem odczytywać począł tę samą rotę przysięgi, którą dopiero co król wygłosił.

Gromkie »Amen« zapieczętowało ową wiekopomną chwilę obudzenia się sumienia narodowego, poczem po ucałowaniu świętego obrazu, odniesiono go napowrót procesjonalnie do kaplicy.

W tydzień potem rozbiegła się po Lwowie lotem błyskawicy wieść, że Czarniecki Stefan rozbił

w puch znaczny oddział szwedzki, wziął w niewolę 65 oficerów i zdobył 16 sztandarów, które oto nadesłane zostały do Lwowa. Był to niejako pierwszy skutek ślubów, tem większa przeto radość zapanała w otoczeniu króla i w całym mieście. W katedrze przed obrazem Matki Boskiej Domagaliczowskiej, przeniesionym jak poprzednio z kaplicy, odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którym król sam ujawszy drzewce jednego sztandaru nieprzyjacielskiego, rzucił go z mocą przed obraz, poczem dostojnicy świeccy, jeden po drugim przystępowali, czyniąc to samo wśród radości i uniesienia zgromadzonego ludu i uroczystego śpiewu »Te Deum«, w czasie którego znowu jeden cudowny omen mieli sposobność zanotować kronikarze lwowscy. Oto podobno na ołtarzu jedna świeca ni z tego ni z owego zgasła, a po ukończonym śpiewie, znowu ni z tego ni z owego, sama ze siebie jasnym światłem zapłonęła.

Po ukończonem nabożeństwie zawieszono 14 sztandarów na ścianie między prezbiterjum a nawą kościelną po obu bokach olbrzymiego krucyfiksu, który dawniej w tem miejscu wisiał, dwa zaś sztandary znalazły miejsce jako dekoracje obrazu Matki Boskiej i kaplicy Domagaliczowskiej.

Wśród doniosłych spraw państwowych, które zabierały cały czas pobytu króla we Lwowie, nie zaniedbywał on także praktyk religijnych, między innemi dokonał w wielki czwartek tegoż roku ceremonji mycia nóg w kościele Jezuitów, o niebawem po świętach wielkanocnych ruszył ze Lwowa w stronę

Sokala, na dalsze trudy, około zdobycia swej stolicy, Warszawy.

Od tego czasu dopiero po czterech latach t. j. w sierpniu r. 1660, miał Lwów sposobność oglądać oblicze królewskie, ale bieda była wówczas tak wielka w mieście, że z nadzwyczajnymi tylko trudnościami złożono się na dar honorowy w kwocie 3000 złp., który pokryli prawie w całości Rusini, w mieście mieszkający, na rozkaz magistratu. Wybieranie tego daru odbywało się »z wielkim skwirkiem i płaczem«, jak powiada Zubrzycki na podstawie kroniki stauropigialnej.

Płacz, ucisk mieszkańców i nędza towarzyszyły następnemu pobytowi Jana Kazimierza we Lwowie, spowodowanego związkiem wojsk, domagających się żołdu. Związek ten stanowi jedną z najsmutniejszych kart w dziejach wewnętrznych Polski, albowiem zawichrzył ją wszystkimi namietnościami możnowładztwa, intrygami, bezrządem, niekarnością, wyczerpaniem skarbu Rzeczypospolitej i takim obniżeniem powagi majestatu królewskiego, że ten stał się niewypłacalnym dłużnikiem, z konieczności puszczającym się na najrozmaitsze sztuczki. Czterdzieści tysięcy wojska dzielnego i bitnego, cała obrona Rzeczypospolitej, związało się w konfederację a raczej związek pod wodzą Stefana Świderskiego, który przedewszystkiem odebrał władzę hetmanom, a następnie oświadczył, że ani kroku nie zrobi w obronie Rzeczypospolitej, dopóki mu żołd zaległy, w kwocie około 26 milionów złp. w całości nie będzie zapłacony.

W Rzeczypospolitej jednakże o wszystko było łatwiej, niż o pieniądze. Kilka więc sejmów radziło nad sposobem wypłaty należności wojskowych, a ostatecznie wyznaczono komisję, do pertraktacji ze związkowymi, która zebrała się dnia 17 lipca 1662 r. we Lwowie. Zaludniło się więc znowu miasto nasze dygnitarzami Rzeczypospolitej i tłumem żołnierstwa niekarnego. Przyjechał prezes komisji, hełman wielki, stary i schorzały Stanisław Potocki, biskup kujawski Florjan Czartoryski, czterech wojewodów, sześciu kasztelanów i trzydziestu dziewięciu delegatów województw poszczególnych, jako komisarze. Skarbnikiem komisji był Jan Kazimierz Kraśiński.

Z drugiej strony, to jest od zbuntowanego wojska przyjechał namiestnik związku Paweł Borzęcki z 500 delegatami pułkowymi i wielu oficerami. Olbrzymia ta delegacja wojskowa obradowała w znanym nam już z czasów wojny kokoszej klasztorze Franciszkanów, skąd też za pośrednictwem deputacji porozumiewała się z komisją królewską.

Zaczęło się, całkiem logicznie od obrachunku, co Rzeczpospolita ma i co musi zapłacić. Pokazało się, że ma wszystkiego 10 milionów złp., a zapłacić musi 29 milionów. Na tym tedy smutnym bilansie utknęło wszystko, a rozpoczęły się już czysto jurydyczne, pieniackie spory, gmatwające całą historję w niemożliwy sposób, zwłaszcza gdy się doda do nich wicherzenia marszałka Lubomirskiego i partji dworskiej, na czele której stała królowa Marja Ludwika.

Wśród takiego nastroju przybył 17. września t. r. i sam król do Lwowa. Mieszczañstwo wyniszczone kwaterami i stacjami żołnierskimi, zgotowało mu tradycyjne, uroczyste przyjęcie, ale pompa i okazałość miejska zgasła wobec wspaniałych pocztów komisarzy duchownych i świeckich, którzy również na przeciw króla wyjechali. Nie brakło także i związkowej delegacji.

Zaledwie jednak umilkły okrzyki tryumfalne, a już rozpoczęły się targi na nowo, wśród wzajemnych ze stron obu rekryminacji i awanturnicznych pomysłów dworu królewskiego, który pragnąc rozbić organizację związkowych, utworzył kontrwiązek stojący przy królu. Rozdrażnienie przybierało coraz ostrzejsze formy, a król, pragnący za każdą cenę wojny z Moskwą, grażył się w ostatnią rozpacz i zniechęcenie.

Jakby na większe jeszcze upokorzenie i wstyd, zjechał w tym samym czasie do Lwowa poseł moskiewski Onezym Karpowicz, z całym dworem, w nadzwyczajnem poselstwie do króla i Rzeczypospolitej. Przyjęto go wspaniale, a on patrzył na wszystko, notował w pamięci ten bezprzykładowy nierząd państwa, które z jego carem we wojnie stało równocześnie, a nawet wojnie zwycięskiej, aż do czasów nieszczęsnego związku. Opatrzono się wreszcie, że poseł obcego mocarstwa w takiej chwili wewnętrznych rozterek, wcale nie jest pożądanym gościem, więc wyszukano pewne formalności, na podstawie których senat, kazał mu poprostu ze Lwowa wyjechać.

Spory tymczasem szły dalszą koleją, a nagła śmierć namiestnika związku Borzęckiego i posądzenie o otrucie go, dołały tylko oliwy do ognia. Wybrał sobie związek nowego namiestnika w osobie Janusza Bieykowskiego, którego staraniem po części udało się sprowadzić ugode w Wolborzu, mocą której wojsko zgodziło się na 10 milionów złp.

Zdawało się, że nastanie cisza. Król skorzystał z zawieszenia obrad i razem z królową wybrał się do Żółkwi, gdzie podejmował ich wspaniale Jan Sobieski, dziedzic tego miasta i wówczas chorąży koronny. W powrocie stanęli oboje królestwo na obiad w karczmie w Brzuchowicach, gdzie znowu zbiegła się ku nim cała ludność z wielką radością i czcią.

Wypełnienie jednak ugody wolborskiej natrafiło na nieprzewidziane trudności, skutkiem których wojsko przybierać poczęło naprawdę groźną postawę. Rzeczy poszły tak daleko, że Bieykowski rozkazał aresztować niejakiego Łabętę oficera pułku kamienieckiego, posądzonego o rozbijanie jedności w związku, na rzecz króla. Starszyzna związkowa uczyniła sąd nad pojmanym i skazała go na śmierć. Król dowiedziawszy się o tem, zagroził związkowi najostrejszemi represjami. Chwila stawała się groźna, burza wisiała na włosku. Mieszkanie królewskie otoczyła wierna gwardja, bramy miasta pozamykano, związkowi zbroić się poczęli na przedmieściu i takąż gwardją obstawili dom, w którym mieszkał Bieykowski i w którym znajdowało się też więzienie Łabęty.

Na taki dramatyczny moment trafił do Lwowa drugi poseł moskiewski Afanazy Laurentowicz. Przy-

jechał w karocy, otoczonej przez stu jezdnych przybranych bogato i wspaniale. Gawiedzi lwowskiej zaimponowały zwłaszcza piękne rzędy końskie i sterzące u ubrań jeźdźców kołnierze, które błyszczały od pereł i drogich kamieni. Poselstwo przyszło z zamiarem zawarcia pokoju, ale że nie miało zbyt daleko idących pełnomocnictw, odesłane zostało z powrotem do Moskwy.

Po odjeździe Moskali zdobyli się wreszcie związkowi na krok stanowczy. Postanowili zerwać układy i wyjechać ze Lwowa, co też ogłoszone zostało uroczystym manifestem, a zapieczętowane wielką demonstracją pożegnalną przed mieszkaniem królewskim. Król rozgniewany, a i zrozpaczony tem, że cały plan jego wojny moskiewskiej idzie na marne, kazał zamknąć bramy kamienicy arcybiskupiej i nie wpuścić do siebie deputacji. Po długich ceregielach otrzymał namiestnik Związku Bieykowski przystęp do króla i w pompatycznym przemówieniu żegnał go w imieniu całego wojska. Jan Kazimierz zbolewały próbował jeszcze perswazji, a widząc, że wszystko na nic, pozostawił głos biskupowi łuckiemu Prażmowskiemu, kanclerzowi, który w słowach ostrych napiętnował całą niepatrijotyczną robotę Związku.

Układy były zerwane, Związek począł emigrować ze Lwowa. U bramy halickiej jednak straż miejska i gwardja królewska napadły na konwój żołnierzy, prowadzący uwięzionego Łabęłę, o którym była mowa wyżej, i odbiły do z rąk związkowych. Równocześnie poczęto organizować pod laską Niezabitowskiego związek nowy, królewski, zwany »związkiem pobożnym«, którego duszą był Stefan

Czarniecki / Do Związku tego przystąpiły nowe zaciągi królewskie i pułki oderwane od buntu, przy pomocy których król zamyślał siłą poskromić związek Świderskiego, a w dalszym ciągu, być może, dokonać zamachu stanu na rzecz wzmocnienia władzy monarchicznej w Polsce.

Atoli ani jedno, ani drugie się nie udało, a samo odczytywanie wszystkich pertraktacji, sporów, uchwał komisyjnych, wszystkich aktów tej, dzisiaj niezrozumiałej walki armii z tronem, pozostawia dziwną czczość w duszy, a zniechęcenie w sercu. Wystarczy powiedzieć, że omal nie przyszło w pobliżu Lwowa do otwartej walki między wojskiem zbuntowanym a wiernym królowi, że wreszcie w lecie 1663 r. przyszło do ostatecznej ugody po za plecami królewskimi, w której królowi przyznano jedynie tę satysfakcję, że naczelnicy Związku mieli go uroczyście i publicznie przeprosić.

Wiadomość o ugodzie przyszła do kamienicy arcybiskupiej pewnej lipcowej nocy i wywołała prawdziwą konsternację na dworze królewskim, który już na serjo zamyślał siłą i przy pomocy Tatarów stłumić Związek i zbuntowane wojsko. Przez trzy dni namyślał się król czy przyjąć ugodę, obawa jednak przed skutkami wojny domowej zwyciężyła. Uległ jej Jan Kazimierz, a cała sprawa zakończyła się na bruku lwowskim dość dramatycznie: sprowadzeniem mennicy do Lwowa dla wybijania pieniędzy na zapłatę żołdu i uroczystymi przeprosinami majestatu królewskiego.

Akt ten przeprosin odbył się z wielką pompą i ceremoniałem, tym ceremoniałem, który się stre-

szcza w formie tylko i żadnego po za formalną swoją stroną nie zostawia wspomnienia. Był jednak dość charakterystyczny i zupełnie w stylu swojego wieku, więc podać go w ogólnych przynajmniej zarysach nie zawadzi.

Skoro tylko ugoda ze Związkiem wojskowym stała się faktem dokonany, przybył do Lwowa znany nam już namiestnik związku Bieykowski wraz z deputacjami poszczególnych pułków. Król przyjął ich w kościele Bernardynów i przypuścił do ucałowania ręki swojej, przyczem starosta opoczyński, Szumowski przemówił do nich na temat miłosierdzia i łaski królewskiej, z równoczesnem przyrzeczeniem dotrzymania poszczególnych punktów ugody, a zwłaszcza wypłaty żołdu i amnestji dla wszystkich związkowych. Zażądał król wreszcie, aby samo naczelnictwo Związku przeprosiło go ponownie, a to w dniu 22 lipca.

Deputacja odniosła odpowiedź królewską kołu wojennemu Związku, na którem po burzliwych obradach zgodzono się ostatecznie na upokarzający akt. Ruszył zatem na drogę pokutną sam marszałek Związku Stefan Świderski, na czele tysięcznej siły zbrojnej, wraz z całym kołem związkowem i wyższymi oficerami. Na polach podlwowskich stanęła ta niezwykła deputacja, a w wigilię aktu sam Świderski udał się do klasztoru Karmelitów trzewikowych przy ulicy Halickiej, gdzie przepędził noc na praktykach religijnych, oczekując dalszych rozkazów królewskich.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień 22 lipca. Pogoda była zła, deszcz rozmoczył ulice miasta, two-

rząc błotniste kałuże, w których obywatele lwowscy brnęli »aż po kolana«. Mimo to wiadomość o niezwykłym zdarzeniu poruszyła całe miasto; tak, że w samym kościele Bernardynów i w okolicy panował ruch nieopisany. Wszyscy zbiegli się na to widowisko, »licznie zmieszane gromady mężów, młodzieńców, starców i płeć żeńska — nie zatrzymywała nikogo w domu własna powaga lub dostojność«.

O godzinie 8 rano zjechał do kościoła król, królowa, dwór cały, z wielką pompą i majestatem, a równocześnie od klasztoru szedł pieszo — pokutnik — Stefan Świdorski, wraz z całą starszą związkową i licznym poczem oficerów.

Ot i gawiedź lwowska miała widowisko, jakich mało. Król na tronie, wielki, dobry i wybaczący, a równocześnie bezsilny, żalem targany i gniewem, w tym żalu zawiedzionych nadziei szukający drobniogowej parady przeprosin i nie przepuszczający ani jednej ceremonii, ani krzty upokorzenia dla... pokutników.

Za tyle goryczy i własnego upokorzenia i zawiedzionych nadziei, należała mu się przynajmniej ta jedna chwila uludy..

U drzwi kościoła w kruchcie, zastąpił Świdorskiemu drogę instygator królewski Franciszek Tański i ponurym, a uroczystym głosem zapytał, ażali Związek ten niecny, potępiony, wyda wszystkie swoje akta i zerwie z całą przeszłością?

Odpowiedź była twierdząca.

Drzwi od kościoła otworzyły się na oścież, a cała deputacja runęła do stóp królewskich, błagając przebaczenia. Świdorski wręczył królowi ośmio..

arkuszowy akt Związku, buńczuk, jako oznakę swej władzy i inne insygnia związkowe.

Nastąpiła chwila dramatyczna. Buńczuk potrząskany na drzazgi legł u stóp tronu, akt związku miał być oddany katowi miejskiemu, aby go publicznie spalił na rynku.

Wtem rogata, dumna natura zbudziła się u Swiderskiego. Nie mógł znieść hańby i wstydu publicznego całopalenia, rzucił się do nóg królewskich, błagając o łaskę, o zmiłowanie... Co dalej zaszło, niewiadomo — dość, że któryś z braciszków, czy księży Bernardynów przytknął akt do świecy i spalił go na miejscu. Jedni powiadają, że braciszek uczynił to na własną rękę z litości nad Swiderskim inni, że król w ten sposób swoją łaskę objawił i oszczędził butnemu szlachcicowi największego, jakie go spotkać mogło, upokorzenia.

Tymczasem rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, po którym król z królową i całym dworem udali się do refektarza klasztornego. Za chwilę przybył tam Swiderski ze starszyzną i na klęczkach przemawiał do króla, prosząc o łaskę, przebaczenie i darowanie mu życia. Wystąpił następnie z pompatyczną przemową radca związku Oszczepalski, ale zaraz po pierwszych słowach, przerwał mu król suchym, rozkazującym tonem, aby się trzymał ściśle przedmiotu. Zbity w ten sposób z tropu Oszczepalski, po kilkakroć przyklęknął w milczeniu u nóg króla, poczem przemawiał jeszcze Bieykowski, a na to wszystko odpowiedział imieniem króla kanclerz Prażmowski.

Władza Swiderskiego nad wojskiem zakończyła się, tymczasowe więc dowództwo nad niem objął kasztelan halicki Aleksander Cetner, a równocześnie wypłata żołdu ciągnęła się dalej z wielkiem utrapieniem Lwowian, którzy upadali już pod ciężarem i nadużyciami tych niemiłych gości.

Wśród tego wszystkiego zjechał niespodzianie do Lwowa poseł francuski z licznym orszakem. Na jego cześć odbyło się wspaniałe przyjęcie u dworu, a tymczasem w kołach wojskowych rozeszła się wieść, że poselstwo to ma na celu zapewnić następstwo na tron polski, po śmierci Jana Kazimierza, księciu de Enguien, lub jego ojcu ks. Kondeuszowi, z pominięciem zasady elekcji *viritim*.

Wywołało to olbrzymią burzę. Wojsko przerwało odbieranie żołdu, oficerowie opuścili izbę komisarską, wszystko wyruszyło na rynek, gdzie przyszło do groźnego rozruchu, przed samem mieszkaniem królewskim. Sytuacja stała się krytyczną i groziła pogwałceniem prawa narodów. Wtedy wyniesiono przed ratusz w lektyce starego i schorzałego hetmana Stanisława Rewerę Potockiego, który przemówił do wzburzonego tłumu, przedstawiając mu fatalne następstwa naruszenia stosunków międzynarodowych. Perswazja odniosła pożądaną skuteczną, magistrat lwowski zajął się energicznie odszukaniem sprawcy niebezpiecznej pogłoski, a wkrótce umysły skierowały się w inną stronę. Przyjechał bowiem do Lwowa poseł austriacki Mikołaj Kinsky, w sprawie wykupna zastawionych księstw Raciborskiego i Opolskiego.

Po odprawieniu tych posłów i ostatecznem uporządkowaniu stosunków wojskowych, zarządził Jan Kazimierz uroczyste nabożeństwo dziękczynne przy odgłosie dzwonów i huku dział, poczem 15 sierpnia 1663 wyjechał ze Lwowa.

Pobyt ten był najdłuższy, jaki kiedykolwiek wypadł królom polskim we Lwowie, z małymi przerwami, trwał bowiem rok cały. Później już tylko w roku 1667 bawił Jan Kazimierz chwilowo we Lwowie, a był to jego pobyt ostatni w naszym mieście.

Tradycja jednakowoż ostatniego Wazy długo jeszcze żyła we Lwowie, a chociaż dzieje jego panowania nieszczęsne były, to jednak w porównaniu z tem, co się później stało, otaczał je mieszczanin lwowski aureolą »dawnych lepszych czasów«, wspominając to na chwałę swoją, to na świetne festyny, zdarzenia, na owe dysputy publiczne i widowiska, które roztaczali na rynku żacy szkoły jezuickiej w obecności pary królewskiej i dostojnego orszaku najprzedniejszych w Rzeczypospolitej mężów, to na echa sporów i waśni, które roznamiętniały szerokie warstwy — z ust kaznodzieji królewskiego Adrijana Pikarskiego, karzącego o dumie i pysze marszałka kor. Lubomirskiego, schodziły na bruk lwowski, na pisma polemiczne i pamflety.

Zachodzące słońce Rzeczypospolitej, spłynęło też w owym czasie największym zaszczytem na skronie mieszczaństwa lwowskiego. Lwów cały podniesiony został do stanu szlacheckiego, ale nobilitacja przyszła za późno już — cieniem marnym zwali ją sami mieszczanie.

Z wrodzonym patriotyzmem, miłością i entuzjazmem powitał Lwów elekcję następcy Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a pierwszą większą manifestacją lojalności, była koronacja żony jego, królowej Eleonory. Wydatki kasy miejskiej na ten »dzień szczęśliwej koronacji« były znaczne*), sam bowiem malarz »za konterfekt królowej Jejmości i za insze ozdoby i malowania »pro ornamento« wziął 100 złp., a »Ichmość prałaci, którzy pracowali w kościele przy wotywie« wypili 4 garncy wina. Wspaniały był zapewne także »aparament« na facjacie ratusza, zbudowany przez cieślów, pomalowany przez malarzy, ozdobiony statuą naprawioną umyślnie przez snycerza i obity bogatymi materjami. Do lampek iluminacyjnych wyszło 3½ kamienia łożu, oraz cały wóz słomy do podpalania stosów drzewa na ulicach. Muzyka, która grała na wieży i trębacze wzięli razem honorarium w kwocie 66 złp., nie licząc mięsa i miodu.

W sam dzień koronacji zgotowano na koszt miasta obiad dla ubogich, wieczerzę zaś dla panów radziec i mieszczan, festyn wreszcie dla pospólstwa obfitował w niespodzianki, podobne zgoła do tych, które dziś zapowiadają afisze festynowe. Był przede wszystkim słup wysoki, a na nim orzeł, z jakimś klejnotem w dzióbku, przeznaczonym dla tego, kto złoży dowód największej zręczności i wdrapie się aż na sam szczyt. Wątpliwa ta przyjemność, która przez długi czas, aż do ostatnich dni prawie była atrakcją wszystkich lwowskich festynów — znalazła i wów-

*) A. III. i 51 str. 40—60.

czas sporo amatorów, a ten, który owego klejnotu dostał, otrzymał »kontentację«, która miasto, razem z samym klejnotem, kosztowała 45 złp.

U innych uczestników festynu wzbudzała sensację mnogość ogni sztucznych, których magistrat zamówił za 190 złp., inni wreszcie mieli prawdziwą uciechę z »maszkaratów«, to jest zamaskowanych błaznów, którym, oprócz zwykłego honorarjum »dało się kontentacji dla uweselenia większego 10 złp.«

Po raz pierwszy zawitała młoda para królewska do Lwowa we wrześniu 1671 r. Młodość biła od obojga, życie, wielkie nadzieje. Nic też dziwnego, że do ucałowania ręki królestwa cisnęło się całe miasto, a biskup sufragan ormiański przyjął nawet dość upokarzające warunki kapituły łacińskiej, co do pierwszeństwa swego w tym ceremoniale.

Znowu tedy rozgwarzył się pałac arcybiskupi sprawami państwa, wojny z Turkami, hucznem życiem dworu królewskiego. Co jednak najbardziej podobało się ks. Józefowiczowi*), to pobożność królewska, połączona z pewną wystawnością i pompą. Codziennie bowiem, a zwłaszcza w dni świąteczne, wyjeżdżała para królewska ośmiokonnym powozem z mieszkania swego do katedry na nabożeństwo, wśród tłumów odprowadzających ją mieszkańców Lwowa, do których przyłączali się »nawet żydzi, stojąc z wielkiem uszanowaniem z daleka« — jak powiada kronikarz. Również i Jezuici byli zupełnie zadowoleni z pobytu królewskiego, gdyż Michał

*) Józefowicz: Kronika, str. 301.

razem z małżonką uświetnili obecnością swą uroczystą procesję, urządzoną na uczczenie kanonizacji św. Franciszka Borgiasza, z katedry do jezuickiego kościoła.

Tak się bawił król we Lwowie wówczas, kiedy marszałek koronny i hetman Jan Sobieski, z nadludzką siłą gromił ordy tatarskie, słońcem wielkiem, wspaniałem wschodził po nad walącą się w gruzy Rzeczpospolitą. Wobec promieni chwały, otaczającej skroń wielkiego wodza, jeszcze marniejszym stawał się majestat króla Michała: nieszczęśliwej i biednej igraszki tłumów szlacheckich i politycznych intryg możnowładztwa.

W rok później, kiedy nierozum polityczny dochodzić począł do kulminacyjnego punktu, kiedy dwa sejmy zerwane odsłoniły wschodnie rubieże Polski na ścieżaj wielkiej potędze Mohameda IV., miasto nasze raz jeszcze wytrzymało straszną nawałę turecką i krwią własną zapisało wierność królowi.

Straszny to był czas, gdy po wzięciu Kamieńca podolskiego, stanęły pod Lwowem niezmierzone zastępy Kapudana baszy, a Rzeczpospolita, bezsilna, targana wewnętrznymi sporami patrzyła ze strachem i przerażeniem na bohaterską walkę garstki mieszczan lwowskich.

»Lwów cały w ogniu« chodziła ponura wieść w najdalsze zakątki, komunikowano ją sobie w listach, bez wiary w zwycięstwo, w poczuciu bezradnej niemocy, zlitowania Bożego tylko wyglądając i łaski nieprzyjaciela. »Posłowie nasi miłosierdzia nad Lwowem żebrzą« w obozie sułtańskim — mówiono z goryczą — ale Lwów jeszcze wytrzymał,

pełen chwały i ofiary, bolejący nad losem zakładników swoich i nad losem dumnej Rzeczypospolitej, która haniebny pokój w Buczaczu podpisywała i szła w haraczowe poddaństwo Mohamedowi.

Czarna hańba była nagrodą za lekkomyślność, czarna też hańba przywiodła Rzeczpospolitą do opamiętania i na nowy się jej bój gotować kazała. W rocznicę prawie haniebnego traktatu buczackiego, poczęły się na polach pod Glinianami zbierać wojska polskie na nową wyprawę turecką. Sam król dnia 2 września 1673 wyjechał z Warszawy, spiesząc do obozu. Odprowadziła go królowa aż do Zamościa, poczem król sam, z nielicznym dworem, odbywał dalszą drogę i dnia 28 września o godzinie 3 popołudniu stanął we Lwowie*). Spieszył się bardzo, więc nie zajeżdżając nawet do miasta, stanął na kwaterze u Bernardynów, pragnąc zaraz nazajutrz puścić się w dalszą drogę ku Glinianom. Niestety »z niezdrowego powietrza na przedmieściu, takie go bolenie wzięło, że przez kilka dni ani spać, ani jeść nie mógł.« O dalszej podróży wobec tego nie było nawet mowy, tembardziej gdy królowi doniesiono, że i marszałek koronny Jan Sobieski jeszcze się nie znajduje w obozie. Następnego więc dnia, w samą uroczystość św. Michała wjechał król Michał do Lwowa i zamieszkał w kamienicy arcybiskupiej.

Nie zastał tutaj nikogo z senatorów, natomiast trafił na wielką paradę, która trwała przez dzień

*) A. Grabowski: Ojczyście wspominki t. II. — Józefowicz: Kronika, str. 329. — B. Kalicki: Zarysy historyczne (Obawa haraczu) Lwów, 1869.

cały. Miasto obchodziło imieniny królewskie, dzień swego patrona i opiekuna i pierwszą rocznicę oblężenia tureckiego. Wjazd więc królewski był czwartą przyczyną, która entuzjazm mieszczaństwa lwowskiego podniosła do możliwie najwyższych granic.

Król nie brał udziału w uroczystościach. Schorzały zamknął się w swoim mieszkaniu, w t. zw. porcelanowym pokoju na pierwszym piętrze kamienicy arcybiskupiej, a łożę boleści otoczyli lekarze lwowscy, dumając razem z medykiem królewskim Braunem nad postępowaniem choroby, której ani istoty, ani przyczyn nie mogli zrozumieć.

Na razie jednakowoż niebezpieczeństwa nie było, tak, że po kilkudniowym wypoczynku, król aczkolwiek »w słabem zdrowiu« mógł wyjechać dnia 5 października, po obiedzie do Glinian, gdzie odbył się z wielką paradą przegląd wojsk i rada wojenna. Zahuczały armaty, zgromadzili się koło osoby królewskiej wodzowie z Janem Sobieskim na czele, król sam dosiadł białego konia i objechał szeregi. Choroba jednak czyniła tak zatrważające postępy, że wrócić musiał do Lwowa, gdzie stanął z powrotem dnia 12 października.

Trwoga i cisza zapanowały we Lwowie. Król leżał w kamienicy arcybiskupiej prawie samotny, w otoczeniu tylko lekarzy. Z senatorów nikogo nie było z wyjątkiem podkanclerzego Olszowskiego, który zarządzał szczupłym dworem królewskim i załatwiał najważniejsze sprawy państwowe, a przedewszystkiem wysłał referendarza królewskiego po królowę, donosząc jej o niebezpieczeństwie.

Niebezpieczeństwo zaś było tem groźniejsze, że lekarze nie mogli sobie zdać sprawy z istoty choroby, a nadworny medyk Braun nie taił się z podejrzeniem, że działa tu... trucizna. W rzeczywistości jednak nadmierne użycie owoców, z zaniechaniem środków higienicznych wywołało u króla trawiącą gorączkę, która zwiększając się z dnia na dzień, miała sprowadzić śmierć, mimo chwilowych polepszeń

W jednej z takich jaśniejszych chwil zebrał się Michał z łoża boleści, zasiadł na tronie w majestacie i w sposób uroczysty udzielił posłuchania posłowi moskiewskiemu, który właśnie przybył do Lwowa z hramotą od cara. Był to ostatni wysiłek i ostatni akt rządowy, dokonany przez gasnącego króla.

A tymczasem dalsze wypadki poczęły się wikłać w iście tragiczny węzeł. Nad drgającym w gorączcze ciałem nieszczęsnego króla, szły takie straszne, ponure chmury, że śmierć tylko jedyna, wybawić go mogła od największej, jaka monarchę chrześcijańskiego spotkać mogła hańby, i ta śmierć nieudolnego, biednego człowieka, którego za zasługi ojca naród pokarał.. koroną królewską, stać się miała ofiarą na zmycie i przebłaganie lekkomyślności Rzeczypospolitej, która doprowadziła do upokarzającego pokoju buczackiego.

Właśnie bowiem wtedy, gdy król na łożu boleści dogorywał we Lwowie, mijała pierwsza rocznica haniebnego traktatu, a z nią razem pierwszy termin, w którym Rzeczpospolita zapłacić miała daninę poddańczą, haracz Mohamedowi IV. Wprawdzie na zmazanie tej hańby szła pod Chocim armia

polska z Janem Sobieskim, ale nie towarzyszyły jej wielkie nadzieje zwycięstwa, owszem, zdawało się wszystkim w tej strasznej chwili, że nad Rzeczpospolitą otwiera się piekło upokorzenia, że oto król polski stanie się hołdownikiem Wielkiego Dywanu, a Polska tureckim paszaliikiem.

Tak źle wprawdzie jeszcze nie było, ale rozgrzana fantazja współczesna roiała najbardziej ponure obrazy, a ostatnim chwilom króla Michała dodała bezmiernej goryczy i takiego czarnego kiru, że dni dni ówczesne i rozgrywane się we Lwowie wypadki stanowią może najbardziej dramatyczną, ale też i najbardziej smutną chwilę w dziejach Polski.

Do obozu polskiego pod Łuką za Dniestrem, przypisał się w ostatnich dniach października 1673 r. bogato ubrany jakiś Turek, na czele zbrojnego orsząku. Był już wieczór, kiedy sprowadzono go przed oblicze hetmana wielkiego Jana Sobieskiego. Nieznajomy przedstawił się hardo i dumnie jako Hussein aga, poseł sułtański, czausz, jak to wówczas nazywano. Mimo spóźnionej pory udzielono mu natychmiast audjencji. Na wielkim majdanie obozowym stanął hetman Sobieski, dwaj hetmani polni, wszyscy senatorowie, ile ich tylko było w obozie i mnóstwo starszizny wojskowej. Sobieski zapytał o powody przybycia czausza, na co ten hardo odpowiedział:

— »Nic nie mam do ciebie, ani do kogo innego, tylko do samego któla, któremu od cesarza podarunek wiozę. I listów nikomu innemu nie oddam, bo się ich nikomu otwierać nie godzi, tylko samemu monarsze.«

Zgroza przebiegła obecnych. Wiedziano dobrze, co znaczy ten »podarunek«. Według zwyczajów tureckich, nie mogło to być nic innego, jak tylko bogato haftowany, zielony kaftan hołdowniczy, który zwykle sułtan swoim hołdownikom posyłał, a teraz śle go oto... królowi Polski i Litwy! Zatrzęsły się wszystkie serca strachem, wieść o tragicznym podarku, wiezionym przez czausza w tajemniczej szkatułce, rozeszła się migiem błyskawicy po całym obozie, a stamtąd biegła onej chmurnej nocy dalej i dalej, aż do Lwowa, na wszystkie krańce Rzeczypospolitej, za granicę nawet.

Według prawa międzynarodowego czausz został wypuszczony i pojechał z obozu w dalszą drogę do Lwowa, a z nim razem potworna, bajeczne nielekcie kształty przybierająca pogłoska. Nie było kąta, gdzieby nie mówiono o tajemniczej szkatułce, pisano o niej w listach, wierzył w nią podkanclerzy Olszowski, trąbiła o niej na świat cały paryska »Gazette de France«. Litość i współczucie dla nieszczęśliwego króla Michała biegło ze wszystkich stron do Lwowa — litość, pomieszana z gorzkim, piekącym poczuciem hańby, którą tylko śmierć sama zmyć mogła.

Stała się więc dziwna i straszna rozterka w duszach współczesnych. Król leżał ciężko chory, dogorywał prawie — obowiązkiem przeto poddanych było modlić się o zdrowie dla niego. Obowiązkiem serdeczniejszy, że mimo wszystkich upokorzeń, których gmin szlachecki nie szczędził majestatowi królewskiemu, tkwiło zawsze głębokie przywiązanie w republikańskiej Polsce do tronu monarchicznego,

a specjalnie król Michał cieszył się nieklamana miłością ogółu szlachty, która w obronie jego powagi wiazała się w konfederacje przeciwko możnowładcom. W tej jednak chwili czausz turecki z tajemniczą szkatułką zamykał usta rozchylone do modlitwy. Modlić się o zdrowie króla znaczyło by życzyć mu, aby przeżył tę najwyższą hańbę, jaka go jako monarchę spotkać mogła...

Błędne koło bez wyjścia, bez ratunku...

W chwili kiedy pierwsza wieść o Husseinie-adze przyjść mogła do Lwowa, król miał się stosunkowo dobrze. Od soboty 4 listopada do następnego poniedziałku zdawało się otoczeniu, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, tem bardziej, że w nocy na 3 listopada pękł, jak mniemano, wrzód wewnętrzny. Tymczasem w poniedziałek z rana, znikły wszelkie nadzieje. W pokoju królewskim, przy wielkiem zwierciadle urządzono ołtarz, przed którym codziennie odprawiało się nabożeństwo, a dnia tego król przyjął w sposób uroczysty ostatnie namaszczenie i zajął się przygotowaniem testamentu.

Nazajutrz t. j. 7. listopada rano, przybył czausz turecki do Lwowa i domagał się hardo posłuchania u samego króla. Posłuchanie jednakowoż było niemożliwe, co podkanclerzy Olszowski zdołał nareszcie wytłumaczyć Husseinowi-adze, który zgodził się na zwłokę aż do chwili, kiedy król nieco tylko przyjdzie do siebie.

Wypadało więc życzyć, aby król nigdy nie przyszedł do siebie.

Jakoż ponury los zdawał się sprzyjać dumie narodowej. Król był tak chory, że stracił mowę,

a dla zaczerpnięcia oddechu musiano mu dniem i nocą przytrzymywać głowę. Medyk królewski w takich warunkach coraz natarczywiej rozsiewał pogłoskę o otruciu króla, do tego stopnia, że rozżaleni panowie z otoczenia kazali spisywać dokładny przebieg choroby, celem późniejszego anatomicznego stwierdzenia, podkanclerzy zaś, najgorliwszy stronnik króla i przyjaciel, czynił otwarcie przygotowania do pogrzebu.

Nadszedł wreszcie piątek, 10 listopada. Z rana jak zwykle wyszła msza przed ołtarzem w pokoju królewskim. Król leżał nieruchomy, jakby w letargu, nagle w połowie nabożeństwa przedśmiertne drgania wstrząsnęły ciałem jego. Krótka chwila konania, a między godziną 9 a 10 rano już nie żył.

Nawet z ukochaną małżonką nie zobaczył się przed śmiercią. Wiadomość bowiem o groźnym stanie męża doszła Eleonorę dopiero 7 listopada. W drodze do Lwowa doszła ją wieść o śmierci... nie było więc po co już jechać, zwłaszcza, że okolica była niebezpieczna od Tatarów — wróciła więc do Warszawy.

Równocześnie w kamienicy arcybiskupiej czyniono przygotowania do pogrzebu. Ciało królewskie zabalsamowano, sekcja zaś wykazała zupełny brak trucizny, chociaż rozpuszczono jeszcze raz pogłoskę, że od wpuszczonych na srebrną misę wnętrzości, misa ta poczerniała.

W trzy dni później król Michał leżał na katafalku w kamienicy arcybiskupiej. Katafalk był czerwonym aksamitem obity i z baldachimem, ciało zaś przybrane w oznaki władzy królewskiej, z koroną

na głowie, z bogatymi klejnotami i t. d. U stóp odprawiano co dziennie uroczyste i śpiewane »requiem« wśród ogromnego natłoku zwiedzających. Pierwszego dnia nabożeństwo takie odprawił sam ówczesny arcybiskup Koryciński, drugiego biskup sufragan, po czem kolejno, co dnia zmieniali się prałaci w oddawaniu ostatniej posługi nieszczęśliwemu królowi i biednemu człowiekowi.

Miał przeto Lwów wrażeń do syta, największą jednak sensację wzbudziło posłuchanie czausza tureckiego Husseina-agi, który zdecydował się ową tajemniczą a tragiczną szkatułkę wręczyć podkanclerzemu Olszowskiemu. Równocześnie więc i w tym samym dniu 13 listopada, kiedy ciało króla Michała wnoszono na katafalk, w kamienicy Jana Sobieskiego (rynek l. 6), robiły się wielkie przygotowania do owej audjencji. Nie było wprawdzie obawy hańby, bo król już nie żył, nie mniej jednak zgroza przejmowała wszystkich na myśl o... jedwabnym, zielonym kaftanie hołdowniczym.

Stosunki międzynarodowe kazały jednak posła przyjąć uroczyście i z wielką pompą. Wyjechał więc przeciwko niemu konny i zbrojny orszak mieszczan aż na przedmieście, cechy wszystkie, również uzbrojone, stały we dwu rzędach wzdłuż ulicy Halickiej, rynku, aż do samej kamienicy Sobieskich, wystąpili także dragoni, trabanci królewscy, piechota węgierska, wszystko w paradnym moderunku. W sieniach samych kamienicy pełnili służbę i szpaler honorowy rajtarzy, na pierwszym zaś piętrze czekał podkanclerzy, otoczony obecnymi wówczas we Lwowie senatorami, szlachtą i mieszczanstwem.

Tentent koni oznajmił zbliżanie się orszaku poselskiego Wyprzedzała go konnica miejska, za nim zaś jechał sam Hussein-aga na koniu, trzymając oburącz ową nieszczęsną szkatułkę, owiniętą w chustę jedwabną, za nim jego orszak.

Stanąwszy przed podkanclerzym oddał mu poseł wśród zwykłego w takich razach ceremoniału szkatułkę. Podkanclerzy otworzył, wydobył list i przeczytał...

Jeżeli dyplomata polski nie był obdarzony angielską flegmą, to po przeczytaniu tego listu musiał gębę szeroko otworzyć, oczy w słupek postawić, a przynajmniej odetchnąć tak, jak by mu kawień stufuntowy spadł z piersi.

W liście nie było najmniejszej wzmianki o kaftanie hołdowniczym, ani nic takiego, coby w najmniejszej nawet mierze zadrasnąć mogło dumę narodową. Wszystkie tytuły w porządku, ta sama forma, co zwykle, tylko stanowcze domaganie się wypełnienia warunków pokoju buczackiego.

Cała tedy historia o tajemniczej szkatułce, o hańbie, o hołdowniczym kaftanie, była tylko wytworem podnieczonej fantazji, powstałym na tle wyrzutów sumienia, była też karą za lekkomyślność i zaniedbanie obrony kresów wschodnich. Wstyd ogarnął współczesnych taki, że chciano czempredzej o tej mistyfikacji zapomnieć — pozostały jednak na pamiętkę potomnym.. współczesne listy i akty, z których wynika, że sułtan Mohamed IV. bardziej szanował Rzeczpospolitą, aniżeli ona siebie.. sama.

Nadchodził jednak dzień konduktu pogrzebowego. Zanim ciało króla Michała odwieziono prze-

dewszystkiem do Warszawy, aby je następnie umieścić w grobach królewskich na Wawelu, odbyła się w katedrze lwowskiej uroczystość pogrzebu wnętrzości króla, które złożono w urnie na wysokim katafalku i wśród uroczystych egzekwii, odprawionych przez arcybiskupa Korycińskiego, wmurowano w jedną ze ścian katedry. Kościół cały był obity kirem, obok katafalku stały cztery czarne piramidy ze światłem i alegorycznymi wyobrażeniami pobożności, roztropności, łaskawości i sprawiedliwości zmarłego króla.

Sam kondukt odbył się 20 listopada w dniu pogodnym, chociaż mroźnym. Po odprawionych u stóp katafalku nabożeństwach, wygłosił w samym pałacu mowę żałobną biskup Popławski, który »dość pięknie wywiódł życie godnej pamięci króla JMci i wszystkich do łez poruszył«. Następnie uformował się olbrzymich rozmiarów pochód żałobny.

Na czele niesiono chorągwie i znaki urzędowe pochylone na znak żałoby ku ziemi, za nimi »honorowa konnica«, potem wszystkie cechy miejskie, uzbrojone z cechmistrzami na przedzie, urząd radziecki i ławnicy w żałobie z gorejącymi świecami w rękach, za nimi wreszcie nieprzejrzany szeregiem bractwa, zakony, duchowieństwo świeckie, biskupi i prałaci. Kondukt żałobny prowadził dziekan kapituły lwowskiej Giedziński, który miał ciało towarzyszyć aż do samej Warszawy. Przed karawanem referendarz koronny, marszałek i starosta nurski nieśli na jedwabnych poduszkach insygnia królewskie. Za karawanem wreszcie dwór, tłumy ludu, gwardja przyboczna, dragoni i piechota węgierska.

«Żadnego nie było honoru — powiada Józefowicz — którego by ciału królewskiemu przychylność naszego miasta, ludu i senatu ówczesnego powaga nie uczyniła... palono pochodnie, kadzidła. ...powoli postępował karawan, ciągniony końmi nie wesołym jak zwykle krokiem, lecz wolnym postępującemi, i do smutku, jak gdyby rozumiały żalobę, ułożone-mi... — tam żołnierz bez oręża, tu urzędnicy bez pochodni i lud na grona podzielony, głośno uskarżając się, że Rzeczpospolita upadła i że już żadnej nie ma nadzieji, drogą wodzów krwią i jedynym starożytności rodu zabytkiem go nazywali».

W czystem polu, daleko już za miastem, stanął orszak żałobny. Na ostatnie pożegnanie przemówił jeszcze ks. Polikiewicz, kaznodzieja katedralny, poczem kondukt poszedł dalej, hen, aż do Warszawy.

Mlekiem i miodem płynąca, kopytami najazdów nieprzyjacielskich stratowana ziemia ruska wychowała jednego z największych i najpopularniejszych królów polskich — bohatera, który jako potężny tryumfator wjechał do Lwowa w chwili, gdy w nim Michał Korybut Wiśniowiecki leżał na śmiertelnych marach, razem ze wstydem i hańbą traktów buczackich.

Wielki, chwałą zwycięstwa chocimskiego promieniejący hetman i marszałek koronny Jan Sobieski, tak wyższy po nad wszelkie panegiryki i hołdy, że jednym skinieniem dłoni rozprószył nimby tryumfalne, które mu lwowska społeczność, wdzięczna za ocalenie życia i istnienia, gotowała — ten, któremu zasługi rozwidniły horyzont aż do samej korony królewskiej — dzieckiem był prawie naszego miasta,

obywatelem, właścicielem realności na rynku lwowskim i sąsiadem na Żółkwi, Olesku, Jaworowie.

I przyjacielem był stolicy czerwono-ruskiej od dziada pradziada i znajomym dobrym, a później obrońcą, protektorem, królem najjaśniejszym.

Jako starosta jaworowski — hetman polny miał we Lwowie dziedzictwo po ojcach, a z tem dziedzictwem znajomość sąsiadów, obywatelskie węzły, stosunki. Tutaj miał po dworach szlacheckich krewnych, po kościołach modlitwy przyjaciół, w klasztorze Benedyktynek siostrę i ciotkę, na ratuszu wpatrzonych w jego i ojców jego gwiazdę — mieszczan, po sklepach dostawców, między żydami dzierżawców i medyków.

Jako hetman, potem królewską przyozdobiony koroną, miał we Lwowie myśl wielką, wojenną i polityczną. Świadom niebezpieczeństwa tureckiego, którego grozę potęgowała jeszcze utrata Kamieńca — chciał ze Lwowa drugi stworzyć Kamieniec. I stał to pojęcie Jana Sobieskiego o strategicznej doniosłości Lwowa, nieustanna dbałość o jego fortyfikacje, mury, baszty, stał wreszcie rycerska przyjaźń z obrońcami tych murów i wysokie mniemanie o lwowskiem mieszczaństwie — mniemanie wspólne z wielu poprzednikami na tronie polskim, a usprawiedliwione krwią, wiarą i ofiarą tegoż mieszczaństwa.

Jako rycerz wreszcie chrześcijański, tedy, na Lwów miał drogę do wszystkich chlubnych czynów swojego żywota, tutaj mu płynęły lata górne i wzniosłe, posłannictwem wyznaczone dziejowem...

Czyż przeto mógł się oprzeć urokowi lwa herbownego lwowskiego, czy mógł mijać obojętnie tych ludzi, patrzeć zimno na miejskie warownie, czy mogło mu być chłodno i obco na gruncie lwowskim, w otoczeniu serc, które go kochały jak swego, biegły doń jak do obrońcy i opiekuna, czciły wreszcie jako »Serenissimum Regem«, jako króla polskiego, całym tradycyjnym umiłowaniem królewskiego majestatu?

Ojciec Jana, kasztelan krakowski Jakób Sobieski, siedział za częstych swoich interesów we Lwowie na górnej jurydyce pod Wysokim Zamkiem, która po dziś dzień nosi miano »Sobieszczyzny« *) Później kupił od Karmelitów, posiadaczy słynnej siedziby Konstantego Korniakta, tę największą podówczas i najpiękniejszą na rynku lwowskim kamienicę, a raczej pałac magnacki, godne mieszkanie królów i później królewskiego swego potomka. Jakób Sobieski upamiętnił się dalej ufundowaniem kościoła Karmelitanek bosych i klasztoru, który dziś stanowi kaplicę arcybiskupią i seminarjum łacińskie, a wreszcie we Lwowie dokonał także życia w roku 1647.

Własność nieruchoma uczyniła spadkobiercą Jakóba Sobieskiego, Jana, obywatelem lwowskim, a liczne interesa majątkowe, jako dziedzica ogromnych dóbr w okolicach Lwowa, wymagały częstego

*) Szczegóły z pobytu Jana III. we Lwowie zaczerpnięte z kroniki Józefowicza, kodeksu Wielewicza, z listów Sobieskiego, (wyd. A. Helcel.) Por. nadto dra A. Czołowskiego: »Wojna polskoturecka w r. 1675« Lwów 1895 i tegoż »Jan III. i jego pomnik we Lwowie«. Lwów 1898.

jego pobytu w naszym mieście. W r. 1652 leżał on dłuższy czas w swojej kamienicy, lecząc się z rany, otrzymanej w pojedynku. Po raz pierwszy zapewne przy tej sposobności zrobił ówczesny starosta Jaworowski znajomość z lwowskim światem lekarskim, z którego później wyszedł nadworny medyk królewski, chluba żydowstwa lwowskiego, sławny Simche Menachem — po raz pierwszy także wówczas uwiśły wota Jana Sobieskiego na obrazie Matki Bożej Domagaliczowskiej, z podziękowaniem za uzdrowienie.

W siedm lat później Sobieski, już jako chorąży koronny i rycerz znamienity ufundował dla rannych żołnierzy polskich szpital Bonifratrów na Łyczakowie, zamieniony dzisiaj na szpital wojskowy austriacki.

Wtenczas jednak sprawy domowe Jana Sobieskiego rozgrywają się już na wielkiem tle dziejowem, wśród doniosłych wypadków, które od wschodu Rzeczypospolitej szły lawiną, na jej zgubę i upadek. Wymieniać je i określać, jaką w nich rolę odegrał marszałek i hetman wielki koronny, wyliczać wreszcie wszystkie sprawy publiczne, dla których on krócej lub dłużej bawił na Rusi i we Lwowie, znaczyłoby pisać współczesne dzieje Polski.

Te sprawy publiczne i wojenne oderwały go też od boku umiłowanej i dopiero co poślubionej Maryi Kazimiery zaraz w pierwszym nieledwie tygodniu miodowego pożycia. Już w czerwcu 1665 znajdujemy go rozręsknionego, rozmarzonego, samotnego, we Lwowie. Unikał ludzi, towarzystwa, zabaw wszelakich, a osiadłszy na przedmieściu, w ufundo-

wanym przez ojca i budowanym przez siebie klasztorze Karmelitanek bosych, na górze »strzelczej«, wypisywał stamtąd tęskne listy do swojej Marysienki.

Toż następnego roku 1666 po chwilowem uciśnieniu się zamieszek domowych, Sobieski w październiku znalazł się we Lwowie, szukając spokoju i samotności dla rozmyślań i podniesienia ducha. Znalazł jedno i drugie w celi klasztornej serdecznego przyjaciela swego, ks. Bernarda Żółkiewskiego u Jezuitów, który »na łeb zaraz z podwórza wypychał każdego«, kto się ważył nachodzić samotnika, opuszczającego pustelnię tylko dla załatwienia sprawunków swojej żony. Sprawił wtedy we Lwowie dla Marysienki czapkę białą aksamitną z futrem sobolem, przyczem »namęczył się z krawcem jak z niedźwiedziem«, w sklepach lwowskich wybrał dla niej »futra szlamowego lisiego białam nieszpety, oraz wilczych ogonów białam na wór dla zagrzania ślicznych nóżek Waszmości serca mego«. Prawdziwie troskliwy małżonek, wzór zakochanego Celadona — no i wreszcie pożądaný klient lwowskiego stanu kupieckiego.

W pauzie między walkami z Tatarstwem, a zatargami politycznymi spotkał wreszcie stęsknionego małżonka miodowy miesiąc w pożyciu z Maryą Kazimierą. Od stycznia r. 1667 przez 3 prawie miesiące mieszkał Sobieski z Marysienką we Lwowie w niezamąconem szczęściu i niezwyklej pogodzie umysłu. Listy jego z tego czasu tchną radością, spokojem, prawdziwą sielanką. »U nas sam we Lwowie nic nowszego nadto, co po wszystkim świecie.

Jedni się żenia, drudzy umierają...» Tak pisał wówczas do siostry swej Radziwiłłowej, donosząc jej mnóstwo codziennych plotek o tem, jak »zastępują kawalerowie pannom za trzewik«, jak się żenia chorążowie z podczaszankami, jak grzebią wdowy i wdowcy swoich małżonków.

Przy boku miłej małżonki, a w otoczeniu przyjaciół, płynęło hetmanowi życie pięknie i słodko na bruku lwowskim. Ciotka Dorota Daniłłowiczowa, ksieni u Benedyktynek, jezuita ks. Stanisław Solski, uczony matematyk, wspomniany ks. Bernard Żółkiewski, towarzysze broni i wypraw wojennych, mieszczaństwo lwowskie wszystko to kołem sympatji otaczało młodą parę, nic też dziwnego, że kilka tych miesięcy we Lwowie upłynęło Sobieskiemu, jak sen jaki cudny — marzenie.

Sen krótki, marzenie przysło, rozbite rączką pięknej Marysienki. Nie żyć było wielkiemu człowiekowi, przy boku płochy kobiety, której śniły się inne kraje, błyskotki dworu francuskiego, pogodne niebo Francji. Bez najmniejszego więc skrupułu, z lekkomyślnością, której uległy małżonek nie miał odwagi stawić czoła, wyjechała Marya Kazimiera w poważnym nadto stanie będąca podówczas, do Paryża, zostawiwszy smutnego Celadona znowu na pastwę tęsknoty i ponurych myśli.

Jedyną też pociechą Sobieskiego i rozrywką, był nawał spraw publicznych, wśród których nie było czasu na gorycz domową. Stęsknionyłożył na intencję połowicy bogate ofiary w klasztorze Karmelitanek bosych, a równocześnie jako przewodniczący komisji wojskowej, dla obmyślenia wypłaty

zaległego żołdu, siadywał od rana do późnej nocy, na ratuszu lwowskim wśród miliona trudności, kłopotów, frasunków, nudnego zbierania obrachunków, pisania asygnacji dla każdej chorągwi, i t. d. »Słońca prawie nie widzę i nie wiem, co się na świecie dzieje« — pisze w jednym ze swych listów, uskarżając się, że nawet ciotki-ksieni, nie ma czasu odwiedzić.

Wśród tych »kłopotów, bankietów, gryzienia się ustawicznego,« wypadła wielka potrzeba tatarska i wielki czyn Sobieskiego, bitwa pod Podhajcami, pierwszy krok do korony królewskiej, który na razie jednakowoż wyczerpał siły hetmana do tego stopnia, że się rozchorował.

Choroba ta okazała mu dopiero, jaką sympatją się cieszył u swoich. »Generał-major Korycki, jako szczenie jakie, dzień i noc mnie nie odstąpił« — toż samo Atanazy Miączyński »serdeczną wódkę u nosa trzymając«. ks. Stanisław Solwski płakał i biedził się ze swemi wątpliwościami, ażali czasem nie kocha Sobieskiego więcej, niż samego... Boga, a »cnotliwa białogłowa Bedrosowa, złotniczka, z duszy była utrapiona i z żalu prawie ledwie żywa, patrząc na mnie — owo wszystek Lwów prawie!«

W rok później i Marya Kazimiera zapadła we Lwowie na ospę. Przeżył wtedy Sobieski chwile rozpacz i serdecznsgo umartwienia. »Jam już w głowę ledwie nie zaszedł« — pisze w jednym liście. Umartwienie było tem większe, że i syn, mały Jakóbek, chorował wówczas, a Marya Kazimiera była w oczekiwaniu dalszego potomstwa. To też kiedy się wszystko skończyło, bohater w tyłu wojennych

okazjach, człowiek, który widywał w koło siebie nieraz prawdziwe żniwo śmierci, opisuje najdrobniejsze szczegóły choroby, z gadatliwością starej kumoszki, rozplywa się nad zdolnością lekarzy lwowskich, którzy »w tym terminie dobrze stawali, że matkę i dziecię (w łonie) salwowali, i skoro tylko swych ingrediencji na żywot nalali, tej minuty zaraz się dziecię ruszyło.« A jaka była uciecha, gdy ospa nie zostawiła żadnych szpecących śladów na obliczu Marysienki, »ani jednego dołeczka« jak powiada podając zarazem środki i »marne lekarstwo, które na to zażywała«. Lekarstwo to rzeczywiście było osobliwe, bo polegało na użyciu pewnej ilości... starej słoniny z mlekiem, potem zaś »pewnej wódki« do zmywania czerwonych plam. Skutek ospy objawił się na zewnętrznym wyglądzie Marysienki, tem tylko, że »we brwiach doczesna szkoda, które całe wylazły i włosów w głowie siła«.

O wiele niebezpieczniejszą, chociaż o równie szczęśliwym przebiegu, chorobę przebył sam Sobieski we Lwowie w r. 1671, kiedy to utworzył mu się wrzód w gardle, tak, że »piwa nawet połykać nie mógł« i przez 14 nocy nie spał. Doświadczona jednakowoż porada sześciu doktorów lwowskich i kilku cyrulików wydobyła go z niebezpieczeństwa, przy pomocy »mnóstwa baniek i krwi puszczania.« Uroczej jednak Marysienki nie było wówczas przy boku chorego męża, a ten na wiadomość, że umiłowana połowica zbliża się do Lwowa, wyrwał się z opieki lekarskiej i pojechał naprzeciw aż do Jaworowa, gdzie nie dobrze wygojona rana odnowiła się i zatrzymała go znowu na łożu boleści.

Przyszedł wreszcie rok kłęski i hańby 1672... Nad miastem naszym osiadły ciężkie dymy pożogi, która gorzała od Kamieńca podolskiego, a krwawym szlakiem Kapudana-baszy zbliżała się krok za krokiem do Lwowa. Sądny dzień i śmiertelna trwoga zapanowały wśród mieszczaństwa, a w takiej chwili oczy wszystkich zwróciły się w stronę Jana Sobieskiego. Gdy wjechał do Lwowa, rzuciły się przerażone gromady ku niemu, jako do jedyngo opiekuna i zbawcy, a on sam zgorzkniał tem, że przestrogi jego puściła Rzeczpospolita mimo uszu, i zostawiła wschodnią swą połąć bezbroną na pastwę nieprzyjaciela, stanął na ratuszu, »aby miastu dać radę i jakąkolwiek otuchę«. Ale rady i otuchy nie stawało już nawet w sercu wielkiego hetmana, i wtenczas to padły w sali ratuszowej słowa gorzkie i cierpkie pod adresem tych, co bronić mieli ojczystych dzierżaw, a zostawili je na łaskę wroga. Mówił hetman wówczas jak do równych obywateli, a przedewszystkiem jak do rycerzy, przykazując obronę do ostatniej krwi kropli, do ostatniego tchu żywota. Sam żadnej pomocy dać nie może, ale ufa w niezachwianą wierność i dzielność mieszczaństwa.

I nie zawiódł się. Lwów wytrzymał ciężkie obleżenie. Dał upadającym przykład nieustraszonej odwagi, a tem przybliżył ku sobie serce wielkiego hetmana i myśl jego w przyszłych planach wojennych.

A mieszczaństwo lwowskie widziało w nim już wtedy przyszłego króla Polski. Prawdziwie proroczy duch ogarnął je po śmierci króla Michała, gdy Jan Sobieski, okryty nieśmiertelną chwałą zwycię-

stwa pod Chocimem, wjeżdżał z tryumfem, zdobyczą, trofeami, z wielką chorągwią Mahometa do Lwowa w dniu 17 grudnia 1673. Mimo biedy i nędzy wysilono się na tradycyjalny tryumf, ale Sobieski nań nie zezwolił, twierdząc, że Bóg sam zwyciężył, jemu więc należy się podziękowanie. Jakoś się jednak nie mogło pomieścić w głowach współczesnych, ażeby wtenczas, kiedy lada dostojnik duchowny lub świecki wjeżdżał sobie do Lwowa z wielką asystencją i paradą — Jan Sobieski, zbawca ojczyzny, mąż opatrnościowy, cicho miał wracać z pola zwycięstw i chwały. Sprawiono mu więc wojenne przywitanie — kilkadziesiąt armat miejskich huknęło na jego cześć z murów i wałów, a rada miejska z burmistrzem poetą, Bartłomiejem Zimorowiczem, poszła witać zwycięzcę przemowami gorącymi, w których obok panegirycznego nastroju, widniało także głębokie uczucie i natchnienie prorocze: »postępuj, działaj i panuj niezwyciężony wśród sławy bitew!«

Przemówienie Macieja Kuczankowicza, zostało wydrukowane w dwukrotnem wydaniu z olbrzymio długim tytułem, poczynającym się od słowa »Salutationes...« oprócz tego znalazło się wielu uczonych panegirystów, sławiących chlubę narodu, między nimi zaś Marcin Nikanor Anczowski wystąpił wprost z arcydziełem napuszystości wierszowanej, naszpikowanej najróżniejszego rodzaju epigramatami.

W pięć miesięcy później był już Sobieski królem polskim, a jednym z pierwszych aktów jego panowania było uwolnienie mieszczan lwowskich od wszystkich podatków królewskich na lat dziesięć, z honorowym przypiskiem odnośnego przywileju:

»za okazaną wierność, mężną i dzielną obronę w re-systemencji potężnemu nieprzyjacielowi«.

Zaraz jednak na wstępie panowania Jana III. podnieść należy rzecz niezmiernie charakterystyczną, tę samą, o której była mowa w czasach Władysława Jagiełły. Jan III. był częstym, corocznym prawie gościem we Lwowie, a mimo tego tak mało się zachowało relacji o jego uroczystych wjazdach, o »triumfach«, i miejskiej paradzie. Uderza to zwłaszcza w owym czasie przesadnej, barokowej napuszystości, fałszywej pompy i połączanego szychu, ale świadczy zarazem, że Lwów swojego króla nie miał powodu tak bardzo wystawnie witać. Przyjeżdżał tu często, był swoim, powszednim, nawet nie gościem, ale lwowskim obywatelem, zresztą i stosunki były tak liczne i ciągłe, że mimo niezwykłej sympatji, jaką się cieszył i serdecznego umiłowania, nie stanowił żadnej znowu sensacji, ani osoba jego nadzwyczajnego dziwowiska.

Główną uwagę poświęcił Jan III. fortyfikacji miasta. Nie szczędził przytem zabiegów, nawet z własnych funduszków i osobistego nadzoru. Pod jego kierunkiem pracował we Lwowie jeden z najzdolniejszych inżynierów fortecznych Jan Berens nad ufortyfikowaniem klasztoru Karmelitów, nad poprawą baszt, murów i fos, nad budową wreszcie »wielkiego leluardu«, który stał przy końcu dzisiejszych wałów gubernatorskich, w miejscu, jak do niedawna teatr letni. Próby obwarowania przedmieścia halickiego, restauracja obydwu arsenałów dopełnić miały wielkiego dzieła, z którego dziś zostały tylko szczątki muru koło Karmelitów, tarcze

herbowe z napisami monumentalnymi i rysunek tablicy, świadczącej, że miasto Lwów składało na ten cel podatek szelężny.

W samym jednakowoż początku tych robót, wybuchła wojna z Turcją, zażegnana w r. 1674 na razie po to, aby zaraz na wiosnę następnego roku rozgorzeć z tem większą siłą. Na Ruś wkroczył Ibrahim Szyszman, basza Alepu, z 180 tysięczną armią tatarsko turecką, posiłkowaną przez obu hołdodawców wołoskich. Padały grody kresowe i zamki jeden po drugim, Rzeczpospolita zaś nie wierząca, jak zwykle w niebezpieczeństwo, gromadziła swe siły opieszale i bez zapалу. Wobec tego Jan Sobieski, który nie miał dotąd czasu nawet na koronację postanowił skupić wszystkie te siły pod Lwowem, skąd luźnym partjom walczącym i załogom poszczególnych zamków możnaby dawać posiłki i w ten sposób uniemożliwić nieprzyjacielowi wejście aż do samego wnętrza królestwa.

Dnia 18 lipca t. r. stanął sam Sobieski we Lwowie, a po godzinnym zaledwie pobycie w mieście i nie odpowiadając na żadne powitania, wyjechał dla wytyczenia miejsca pod obóz za miastem.

Wybór padł na pola leżące obok dzisiejszego cmentarza łyczakowskiego, »wedle gościńca gliniańskiego, za kościołem św. Antoniego, między św. Piotrem, a Rurami, tam, gdzie bywał obóz Władysławsowski«. Król z własnych funduszów zapłacił właścicielom za zrujnowane plony i gorączkowo począł naglić do pospiechu w robotach fortyfikacyjnych, do tego stopnia, że nawet na noc nie zajeżdżał do miasta, ale mieszkał w »ogrodzie kapuścia-

nym«, w pobliżu dzisiejszej cerkwi św. Piotra i Pawła, w urządzonym tam namiocie. Sielanka ta omal nie skończyła się tragicznie. Pewnej nocy mianowicie wtargnęły do namiotu królewskiego wilki i zagryzły na śmierć pacholika, strzegącego wejścia. Nauczyniony stąd harmider obudził się król i w ten sposób uniknął niechybnej śmierci. Takim to bezpiecznym miejscem był wspomniany ogród kapucyński, zasadzony dzisiaj rzędami kamienic.

Królowej nie było wówczas we Lwowie, wysłał ją bowiem Jan III. razem z dziećmi w bezpieczną okolicę do Jarosławia, a sam, mimo nawału pracy, znalazł dość czasu na wypisywanie jej sążnistych listów ze szczegółowemi wiadomościami. Zresztą, o ile się wolna chwila trafiła, chadzał na Wysoki Zamek i tam wypatrując z oddali nieprzyjaciela, oddawał się tęsknocie rzewnej i lirycznej, do kochanej Marysienki. »Będąc wczora na Wysokim Zamku — pisze w liście z 24 lipca — uważałem długo zachodzące nad Jarosławiem słońce i w tamtą stronę biegnące obłoczki. O jakożem życzył obrócić się w jaką kropelkę deszczu, albo rosy, a spaść na najśliczniejszą buzienkę Wmci...«

Oto obrazek, którego by się nie powstydzili żaden modernistyczny poeta nawet, a który być może, zrobił efekt, bo oto 20 sierpnia Marya Kazimiera ni z tego, ni z owego i wśród największego rozgardjaszu wojennego zjechała do Lwowa i z uporem postanowiła wytrwać przy boku męża.

Równocześnie z królową przyszła do Lwowa wieść, że »Noradyn Sołtan z Adży-Gerajem Sołta-

nem ze wszystkimi murzami i bejami, z przebrakowaną orlą idą prosto po de Lwów.«

Wyprawa ta tatarska, przednia straż siły zbrojnej samego Ibrahima, o sile 20 do 40 tysięcy ludzi, miała na celu stworzyć głównej sile tureckiej podstawę do ostatecznych operacji wojennych.

W sobotę 24 sierpnia trwoga powszechna panowała we Lwowie. Przez cały dzień bito z dział Wysokiego Zamku dla ostrzeżenia okolicznej ludności o niebezpieczeństwie, mieszczanie stali pod bronią w pogotowiu, sam zaś Sobieski z pagórków za dzisiejszym »Kaiserwaldem«, patrzył przez lunetę i układał plan bitwy i dyslokacji szczupłych sił swoich, wynoszących wszystkiego 6 tysięcy ludzi.

Około południa dymy płonących wiosek i olbrzymi tuman kurzu, wzbitego kopytami tysięcy koni, dały znać o zbliżającym się nieprzyjacielu. W wąwozie pod Lesienicami rzuciły się chorągwie polskie z brawurą na nieprzyjaciela. Bitwa trwała aż do wieczora, a skończyła się najzupełniejszym pogromem tatarskim. Noradyn oparł się w ucieczce dopiero o ośm mil od Lwowa w Jeziernej. Ambasador francuski biskup Forbin Janson, który wbrew swemu podwójnemu, duchownemu i dyplomatycznemu charakterowi walczył z pistoletem w ręku tuż obok Sobieskiego, nie mógł potem wyjść z podziwu, jak nie wiele większa po nad 4.000 ludzi jazda polska pokonać mogła dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela.

To też powrót do miasta był prawdziwym tryumfem. Króla witano z największym uniesieniem jako obrońcę miasta, a samo zwycięstwo poczyty-

wano za cud, wymodlony przez rzesze pospólstwa miejskiego, które biorąc przykład z królowej, przez cały dzień zalegało wszystkie kościoły z płaczem wielkim i modlitwą.

Można sobie tedy wyobrazić, jaki entuzjastyczny nastrój panował we Lwowie, podczas odbywających się w kilka miesięcy później uroczystości koronacyjnych, obchodzonych tutaj »nabożeństwem po kościołach, a uciechami po miejscach publicznych, i strzelaniem z dział przez dzień cały«. Miało wielki powód miasto do uciechy, bo oto na sejmie koronacyjnym, razem z zatwierdzeniem wszystkich swoich przywilejów, otrzymało tak wielkie, wielomowne i piękne świadectwo od Jana III., jak żadne może inne miasto polskie. Oto bowiem, co przepisała kancelarja królewska na pergaminie przywileju:

»Mając wzgląd, że między wszystkiemi miastami Królestwa, najliczniejszymi zasługami względem Rzeczypospolitej, względem poprzednich królów, i względem nas, niewzruszoną w mnogich niebezpieczeństwach, wyróżnia się nasze miasto Lwów, które w tylu nieprzyjacielskich oblężeniach przez Kozaków, Moskwę, Tatarów, a teraz świeżo przez Turków podupadł, lecz nie uległ.

»Z tych to chwil tak krytycznych, wyszedł zwycięzko, wstrzymał z podziwienia godnem męstwem i odwagą potęgę ottomańską i nie dopuścił, aby ona wdarła się do wnętrza Królestwa. Mieszczanstwo zaś lwowskie oświecone, pełne cnót obywatelskich i form wykwinnych, słynie daleko po za granicami Polski, nie tylko chwałą wojenną, lecz także cywilizacyjną, miasto przeto swem wykształ-

ceniem, męstwem, trwałą wiernością względem Rzeczypospolitej, zasłużyło na wiekopomną sławę i szczególniejszą łaskę...»

Wielki był również we Lwowie tryumf, gdy Jan III. chwałą okryty wracał z pod Żórawna, a potem przez siedm lat spokoju i wytchnienia węzły między królem a miastem stają się coraz ściślejsze, stosunki coraz częstsze, osoba Jana III. z każdym dniem coraz popularniejsza. Kamienica arcybiskupia nie mogła być już jego mieszkaniem, więc kosztem znacznym przerobił dom swój na stałą rezydencję, przyprowadzając go do stanu, w jakim mniej więcej do dzisiaj w szczęśliwy sposób się dochował, stanowiąc jedną z najdroższych pamiątek dziejowych naszego miasta.

Pierwszą wielką uroczystością familijną, która się w tak odnowionym pałacu odbyła było wesele siostry Maryi Kazimiery z Janem Wielopolskim, podkanclerzym koronnym. Naznaczony pierwotnie termin ślubu na dzień 12 czerwca 1677 uległ kilkudniowej zwłoce z powodu niedyspozycji pana młodego i odbył się dopiero 19 czerwca, z niesłychanym nawet na owe czasy przepychem. Lwów dawno już nie widział w murach swoich tylu strojnych orszaków, tak licznego zjazdu senatorów z całej Polski. Sam król zjechał z Jaworowa, gdzie dopiero co odbył się chrzest królewicza Aleksandra — z największą okazałością, w połączanym powozie, na kształt kielicha zrobionym. Naprzeciw niego wyjechali panowie i całe miasto z urzędem radzieckim na czele, od bramy halickiej aż do katedry niesiono nad nim wysoki baldachim. Powitaniom i uroczy-

stościom nie było końca, tembardziej, że nuncjusz papieski ks. Martelli, wywoływał znowu dla siebie specjalne owacje od duchowieństwa. Do tego stopnia czas był zapchany uroczystościami, że nawet Jezuici musieli odłożyć na spokojniejsze czasy popisy oratorskie uczniów swojego kolegium.

W dniu 16 czerwca wyszedł z kamienicy królewskiej pieszo orszak weselny do katedry. Towarzyszył mu król i królowa, wszyscy dostojnicy i goście. Na cześć nowożeńców wydrukowali Jezuici aż dwa panegiryki, które podczas ślubu kolportowali w kościele. Pannę młodą oddawał ówczesnym zwyczajem nowożeńcowi, hetman Stanisław Jabłonowski, przyczem wygłosił mowę na podstawie motywów i aluzji zręcznie powiązanych z miastem i astrologicznymi znakami niebieskimi, rozpoczynając słowami: »Dziś słońce w znak lwa wstępuje«.

Wesele i uroczystości z niem połączone trwały kilka dni, przyczem znoszono całe stosy podarunków i prezentów od senatorów, województw, ziemstw i miast. Imieniem państwa młodych dziękował za nie Andrzej Chryzostom Załuski, naówczas kanclerz kapituły gnieźnieńskiej i sławny krasomówca.

Wszystkich uroczystości, które się prawily za Jana III. we Lwowie, nie wyliczyłby ani opisał w osobnej książce nawet. Bez przesady rzec można, że miasto nasze było przez znaczną część panowania Sobieskiego stolicą Polski i ogniskiem doniosłych spraw politycznych, a wśród nich przewija się jak szara nić ten codzienny, powszedni stosunek króla do mieszczaństwa, mający wszelkie cechy oso-

bistej przyjaźni i sąsiedzkiego zainteresowania się drobiazgami miejskimi.

Król o wyrobionym aż do drobiazgowości zmyśle gospodarskim, chodził po mieście jak dobry gospodarz, oglądając to nowe budynki, to rozpatrując potrzeby i życzenia wszystkich nacji i narodów zamieszkujących Lwów, tak Polaków, jak Ormian, jak Rusinów, jak Żydów wreszcie, dla których Lwów współczesny zasłynął jako »matka Izraela«.

Taki naprzykład obrazek z życia, przechowany w kronice Benedyktynek ormiańskich, mówi sam za siebie o patryjarchalnych zwyczajach Jana III. *) »Król Jegomość — czytamy w tym pamiętniku — był bardzo łaskaw na konwent i jałmużnami go opatrywał, a w r. 1692 będąc we Lwowie z królową Jejmością klasztor sam nawiedził, kędy u furty na dole siedział, mówiąc życzliwie z arcybiskupem ormiańskim i z senatorami, dowiadując się od p. Katarzyny Zebrzydowskiej o pomieszkaniu i obejściu tych panien. A królowa z biskupem płockim i senatorkami obeszła klasztor po górnem mieszkaniu, kędy obaczywszy niesposobność miejsca, z wielkiem politowaniem przyszedłszy, Królowi Jegomości powiadała, obiecując, że się o to starać będzie, żeby były przeniesione na przedmieście i nachodził się był sam Król JMC. o to, tylko się pokazało z kart, które panowie Ormianie na się dali, że O. O. Teatynów stamtąd ruszyć nie mogli, aż za zezwoleniem św. Kongregacji w Rzymie.

*) Barącz: Żywoty sławnych Ormian, str. 340.

Z największym jednak przepychem wystąpił Jan III. we Lwowie w czasie zaprzysiężenia pokoju Grzymułtowskiego, oddającego Moskwie raz na zawsze ziemie zadnieprskie z Kijowem i Smoleńsk. Przepych ten w dziwnej stał sprzeczności z ponurą doniosłością tego traktatu i z rozdarciem duszy królewskiej Jana III., który ze łzami w oczach kładł swój podpis i przysięgę na akcie, co na oścież otwierał drzwi Rzeczypospolitej zdradzieckiej Moskwie, w zamian za platoniczne »święte przymierze« przeciwko Turcji.

Do Lwowa zjechał poseł moskiewski Szeremietiew z niesłychaną pompą i bogactwem, wobec czego i przyjęcie musiało być okazałe, tem bardziej, że należało dać olśniewający pozór potęgi, świetności i bogactwa Rzeczypospolitej. Sam akt odbył się w kamienicy Sobieskiego, wobec obojga królestwa, siedzących na tronie i wobec królewicza Jakóba, który siedział po lewej ręce króla, co potem wywołało liczne kwasy i zatargi z możnowładztwem, widzącym w tem chęć uczynienia tronu polskiego dziedzicznym.

Po tej audjencji odbył się cały szereg festynów i bankietów. Moskali przyjmowano uroczyście, królowa z posłami grywała w karty. »dla rozrągnięcia ich umysłu«. Na bankietach sadzano ich zawsze na pierwszym miejscu, z wielkim uszczerbkiem powagi dostojników kościelnych, którzy, jeżeli można tak powiedzieć, stosowali »bierny opór« przeciwko tej preferencji posłów moskiewskich w ten sposób, że na uczyty odnośne, za pozwoleniem cichem króla, wcale nie przychodzili.

Po raz ostatni był Jan III. we Lwowie w r. 1694, ale mimo wieku i goryczy panowania nie przestawał się interesować sprawami miasta, a gdy w następnym roku hetman Stanisław Jabłonowski rozgromił orde tatarską pod Lwowem, kazał sobie przesyłać najdokładniejsze relacje o bitwie, ciesząc się niepomierne z jej zwyciężkiego wyniku.

Żałobna wiadomość o śmierci wielkiego króla w r. 1696 zagrziała we Lwowie, jak dzwom pogrzebowy. — Zamknęła się ostatnia karta świetności i dobrobytu naszego miasta.

* * *

Ani swoim, ani sympatycznym, ani popularnym był we Lwowie August II., a przyjazd jego do naszego miasta dnia 16 sierpnia 1698, w drodze na operetkową wyprawę turecką ma chyba to jedno znaczenie, że po raz ostatni rozwinęła społeczność lwowska tradycyjny przepych na powitanie królewskie i tradycyjną manifestację lojalności.

Wjazd odbył się w sobotę.*) Król otoczony senatem i mnóstwem wojskowych, polskiego, tudzież saskiego zaciągu, sam jechał konno, po bokach jego również konno królewicze Jakób i Konstanty Sobiescy, dalej stary hetman Stanisław Jabłonowski, wraz z licznem gronem wojewodów, kasztelanów, biskupów, dostojników dworskich. Na czele orszaku królewskiego postępowały rajtarje i gwardje prywatne różnych panów, »potem miejskie chorągwie, osobliwie ormiańska bardzo strojna«, za nimi szlachta województwa ruskiego in corpore. Za kró-

*) Rękopis Bibl. Ossol. Nr. 253, str. 43.

lem szła rajtarja zwyczajna »pod kornetami«, t. j. chorągwiemi. Daleko za miastem, w czystym polu jeszcze witał Augusta II. urząd radziecki stosowną przemową, potem reprezentant kapituły łacińskiej, a wreszcie biskup ruski Szumlański ze swoim dwiństwem.

Przed bramą tryumfalną »splendide wystawioną«, zsiadł król z konia, potem wśród huku dział z murów miejskich i Wysokiego Zamku, ruszył pieszo ulicą Halicką, pod baldachimem niesionym przez rajców, do katedry. »Muzyka wszelakich instrumentów, aplaudując Królowi JMCi grała i wszystkie cechy w mieście porządkiem stały, ozdobnie przybrane, wyrażając Majestatowi Królewskiemu honory należyte «

Od drzwi katedry zawrócili obaj królewicze, dążąc do kamienicy swojej, dla powitania mieszkającej tam królowej wdowy, a matki swojej Marji Kazimierzy. Za nimi ruszył król po odprawieniu modłów w katedrze, w karecie do rynku, celem złożenia wizyty królowej. Przyjęty został ze wszystkimi honorami. Marja Kazimiera w orszaku strojnych dam zeszła aż na dół do przedsionka na powitanie, a rozmowa i wogóle cała wizyta trwała blisko godzinę.

Nazajutrz Marja Kazimiera z obu synami i z całym orszakiem rewizytowała króla w jego mieszkaniu, prawdopodobnie w arcybiskupiej kamienicy. Tam też odbywała się narada wojenna w dniu 20 sierpnia, a w kilka dni później ruszył August II. w stronę Brzeżan, gdzie zamiast tureckiej wojny, omal nie przyszło do krwawej bitwy między

wojskiem polskiem, a saskiem i gdzie tylko interwencji Stanisława Jabłonowskiego zawdzięczał August II., że dzień ten, nie stał się ostatnim dniem jego panowania.

Rozdrażniony, zły i zgorzkniały wrócił August do Lwowa, gdzie tym razem chwilowo zamieszkał w kamienicy królewskiej. Był to jego ostatni pobyt we Lwowie.

* * *

Krwia, łzami, niedolą najstraszniejszą, jaką można sobie wyobrazić, zapisany został pobyt ostatniego we Lwowie, króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego o. Zaiste dzieje radosnych tryumfów, lojalnych manifestacji, całej fanatycznej nieledwie wierności mieszczaństwa lwowskiego do majestatu królewskiego, nie mogły się skończyć tragiczniej i smutniej, jak w chwili wjazdu Stanisława Leszczyńskiego do miasta naszego w r. 1704. Nabrzmiała jest ta karta dziejów Lwowa takim płaczem serdecznym, taką nędzą, upadkiem i poniżeniem, że jęk ponury zda się dziś jeszcze ulatywać z kart djarjusza ks. Józefowicza*) — rozdzierający krzyk miasta, tonącego w odmętach dziejowej zawieruchy.

W pierwszych dniach września 1704 r. Lwów został zdobyty przez króla szwedzkiego Karola XII. Znikła jego chwała i świetność, prysł urok niezdobytej fortecy, która chciała dotrzymać tradycyjnej wiary Augustowi II., a dotrzymać jej nie mogła, dzięki niedołęstwu swego komendanta Gałęckiego.

*) Józefowicz : Lwów utrapiony. Rękopis Archiwum miejskiego.

W takiej chwili dnia 15 września 1704 stanął na polach lwowskich ten, na którego rzecz działo się to całe zniszczenie, elekt Stanisław Leszczyński. Witał go przez dzień cały huk rozsadzanej armaty miejskiej, a on sam, w towarzystwie królewicza Aleksandra Sobieskiego, co myślał wówczas, co czuł.. niewiadomo.

Bo przecież był taki bliski, drogi, swój miastu naszemu. We Lwowie urodził się w r. 1671, na przedmieściu w dworku Leszczyńskich, który stał przy ulicy Zielonej, w miejscu mniej więcej, gdzie dziś dworzec budowniczy miejski przy ulicy Zielonej. Tutaj więc zobaczył po raz pierwszy światło dzienne, tu rozpoczął drogę ciernistego żywota, która go zaprowadzić z czasem miała do nieszczęsnej korony i nieszczęsnego wygnania.

Pamiętał Stanisław Leszczyński o mieście swoim rodzinnem w tej chwili. Sam to przyznał witającej go deputacji miejskiej, a jednak żadnej mu pomocy, żadnej łaski wyświadczyć nie mógł — bezsilny wobec tych, którzy go na tron polski wynosili.

Miasto nie wiedziało o jego przyjeździe, nikomu bowiem z mieszczan nie wolno było wydalać się po za obręb murów miejskich. Tak jak urząd radziecki, razem z burmistrzem Dominikiem Wilczkiem siedział zamknięty w »sekwestrze« w więzieniu ratuszowem, tak miasto całe zostało internowane w swoich murach. Dopiero więc oficerowie szwedzcy przynieśli na ratusz wiadomość o przyjeździe elekta.

Wiadomość ta poruszyła wszystkich. Oto w tej chwili leż i rozpaczy, rozpasania obcych żołdaków, w tej chwili poniewierki, zdzierania skóry żywcem,

bezmyślnego niszczenia całej potęgi i obrony miasta, zjawiał się król Stanisław, swój przeciwieństwo, rodak, który pewnie zrozumie, pewnie oceni krzywdę straszliwą, jaka się dzieje — on, sprzymierzeniec Karola XII., przyjaciel, on wszakże uprosi łaskę dla miasta i zmiłowanie!

Więc się dnia 16 września wyprosił urząd radziecki i ruszył pieszo, pędem na powitanie dostojnego elekta. Niestety nie mieli rajcy, gospodarze, panowie miasta przepustki szwedzkiej, pozwolenia na wyjście po za bramy miejskie. Warta szwedzka ich wstrzymała — z goryczą w sercu musieli wrócić, a tylko napisali korną suplikę i sekretnie, w tajemnicy przed Szwedami, wysłali ją do kwatery Stanisława.

Dnia jednakowoż tego samego, nad wieczorem był elekt w mieście. Wjechał doń w asystencji żołnierza szwedzkiego, razem z Karolem XII. i królewiczem Aleksandrem i zamieszkał na Niskim Zamku, gdzie zaraz piechota szwedzka zaciągnęła wartę honorową. Zerwał się magistrat znowu i biegł na Niski Zamek witać, ale go wstrzymano z powodu spóźnionej pory, do dnia następnego.

Nazajutrz tedy, 17 września, zaraz o godzinie 8 rano znalazł się magistrat razem z reprezentantami kapituły w »wielkim pokoju« na Niskim Zamku czekając audjencji. Skoro tylko królowi doniesiono o przybyciu, kazał ich natychmiast wołać do siebie.

Z przemową powitalną wystąpił ks. Tomasz Józefowicz, kanonik kapitulny. Ze łzami w oczach wołał, jak »miasto popioły swoje zalewa płaczem,«

jak jedyną pociechą, że »do nóg Waszej Wysokości, lubo z więzienia Szwedzi pójść pozwalają. Zastajesz Wasza Królewska Wysokość ledwo ślady miasta — Lwów ledwo cały w popiele!«

I tak dalej mówił wymowny ks. Józefowicz, a »Serenissimus Electus słuchał z pilnością i potem uczynił kondolencję, utyskując nad losem miasta.« Wprawdzie mieszczanie sami sobie zawiniли, nie słuchając rozkazów Karola XII, ale on, Stanisław, ze swojej strony, skoro się tylko dowiedział o zajęciu Lwowa, wniósł za nim instancję do Karola XII., »tego dokładając, że jeżeli nie z innych racji, tedy przynajmniej z tej o respekt prosił, że się w niem urodził.«

Potem zbliżył się do elekta burmistrz Dominik Wilczek razem z rajcami, a rzucając się do stóp jego, prosili z płaczem o zmiłowanie nad armatą miejską — »aby tak wielkie działa były konserwowane, a nie psowane z tak wielką szkodą publiczną. Wszakże to nie armata Augusta II., ale całego Królestwa...«

»Westchnął Serenissimus Electus i jakoby meditał te słowa«, — on i za armatą miejską już prosił, bo nie rozumiał, aby Karol XII wprowadzając go na tron, równocześnie chciał odebrać królestwu jego wszelką obronę. Otrzymał jednak odpowiedź, że tak być musi, bo inaczej zbrojownia miejska dostałaby się w ręce Moskwy. Jedyna rada, jaką dać może jest ta, aby mieszczanie udać się zechcieli do królewicza Aleksandra, czyby on nie zabrał armat miejskich do swojej Żółkwi na przechowanie.

Udano się natychmiast do Aleksandra, ale ten był w tej chwili zajęty i wyznaczył audjencję na drugi dzień, na godzinę 7 rano.

Poszli tedy mieszczanie, ale i tu nic nie wskórali. Wszystkie armaty miejskie doszczętnie roztrąskano, a król Stanisław pomógł miastu tylko tyle, że wysłał na ratusz marszałka swego Ponińskiego, celem interwencji w sprawie opustu od zbyt wygórowanego odkupu.

Dnia wreszcie 24 września 1704 ruszył Stanisław razem ze Szwedami ze Lwowa, a od tego czasu nigdy już noga króla polskiego w nim nie powstała. Nie byli we Lwowie ani August III., ani Stanisław August, jako król. Chlubne dzieje stosunku mieszczaństwa lwowskiego do królów polskich i wierności majestatowi stale dochowywanej, skończyły się katastrofą. Ale i w tej katastrofie dziękowało miasto Bogu, że Stanisława Leszczyńskiego do Lwowa zesłał, który »uprosił zmniejszenie tak wielkiej kontrybucji« — inaczej byłoby wielu duchownych i świeckich w kajdanach, a Szwedzi odgrązali się ponadto, że na wypadek niewypłacenia kontrybucji zburzą wszystkie wieże lwowskie, a więc katedralną, ratuszową na kościele Jezuickim i na cerkwi wołoskiej.



SPIS RZECZY.

	Strona
Wstęp	3

I. Od Kaźmierza do Olbrachta.

Kazimierz Wielki jako zdobywca. — Skarbiec ruskich książąt. — Założyciel Lwowa. — Władysław Jagiełło, częsty gość. — Jadwiga. — Dobrodziejstwa dla Lwowa. — Dary miasta. — Cesarz Zygmunt we Lwowie. — Żałoba. — Warneńczyk i wrażenie katastrofy — Kazimierz Jagiellończyk. — Dyplomacja lwowska i futra zajęcze. — Wjazd tryumfalny Jana Olbrachta. — Smutny powrót z wyprawy bukowińskiej

	10
--	----

II. Kokosza wojna i zastaw.

Zygmunt I. we Lwowie. — Jego utrapienia. — Choroba. — Ponury widok. — „Kokosza wojna.“ — Zbiorowe pieniądze. — Niewojenne gwary. — Koryktura praw. — Zgromadzenie na pl. św. Jura. — Drugie zebranie pod Zboiskami. — Burza i panika. — W klasztorze Franciszkanów. — Dalsze spory. — Audjencja na schodach Niskiego Zamku. — Kapitulacja królewska. — Korona i berło na ratuszu

	22
--	----

III. Stefan Batory.

Wiść o elekcji. — Zdenerwowanie. — Gwardja ratuszowa. — Karność mieszczkańska. — Wojciech Ostrosz i jego zapiski. — U bram Polski. — Przygotowania we Lwowie. — Muzyka. — Tryumfalny wjazd. — Przemowy. — Dary. — Odjazd królewski. — Powtórny pobyt Stefana Batorego we Lwowie. — Sprawy polityczne. — Szczęśliwy przyjazd. — Iwan Podkowa

	36
--	----

IV. Szczęśliwe tryumfy.

Pompa obchodowa. — Koronacja Zygmunta III. — Wyprawa chocimska. — Królewicz Władysław we Lwowie. — Pobyt Zygmunta III. — Powrót z wyprawy. — Władysław IV. — Jego »szczęśliwy przyjazd«. — Jadwiszka ze Lwowa. — Obchód zwycięstwa nad Moskwą i pokoju. — Obchód żałosny. — Wesele Władysława IV.

51

V. Na śmierć i życie!

Jan Kazimierz i jego mieszkanie we Lwowie. — Kłopotliwe zaprosiny. — Pierwsza wizyta. — Pustki w kasie. — Król w stroju polskim. — Na łożu boleści. — Kazanie i awantura. — Sprawy państwowe. — Król między chłopami w Brzuchowicach. — Uroczysty wjazd na deszczu. — Cichy pobyt. — Potop. — Przyjazd królewski. — Dworzanie i gwardja mieszczańska. — Śluby w katedrze lwowskiej. — Król prawie stałym mieszkańcem Lwowa. — Michał Korybut Wiśniowiecki. — Koronacja królowej Eleonory. — Pobyt pary królewskiej. — Tragiczna śmierć króla.

74

VI. Wśród swoich.

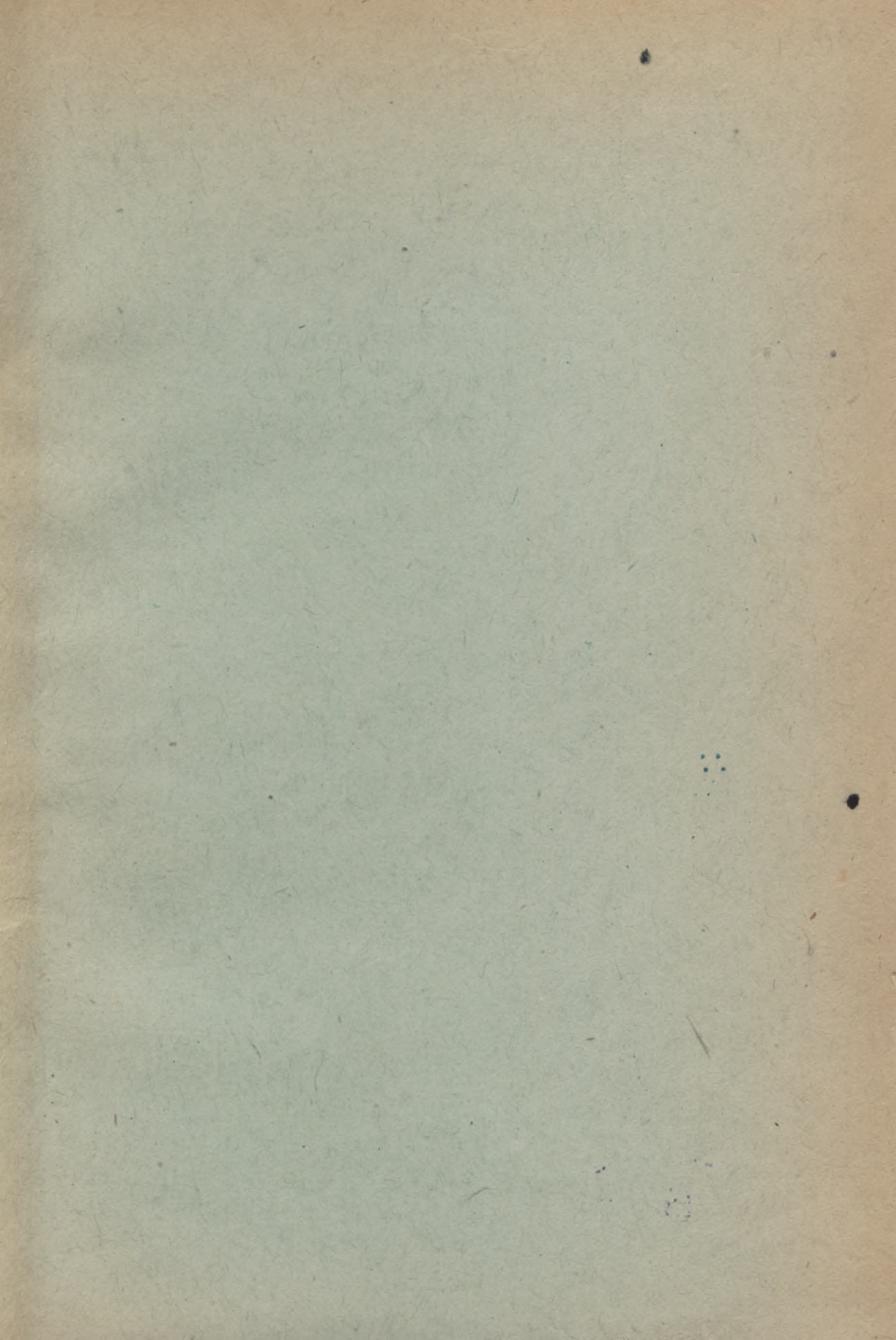
Jan Sobieski obywatelem Lwowa. — Dziedzictwo. — Osobiste stosunki. — Miodowy miesiąc. — Komisja wojskowa. — Współczucie w chorobie. — Ospa u Marysienki. — Sobieski na ratuszu. — Powrót z pod Chocima. — Jan III. i przywileje miasta. — Fortyfikacje. — Bitwa pod Lesienicami i kapuściany ogród. — Chlubne świadectwo. — Wesele w rodzinie królewskiej. — Jan III. gospodarz i protektor. — Pokój Grzymułtowskiego. — August II. we Lwowie. — Katastrofa r. 1704. i Stanisław Leszczyński. — Audjencje na Niskim Zamku. — Pośrednictwo w sprawie kontrybucji. — Zakończenie.

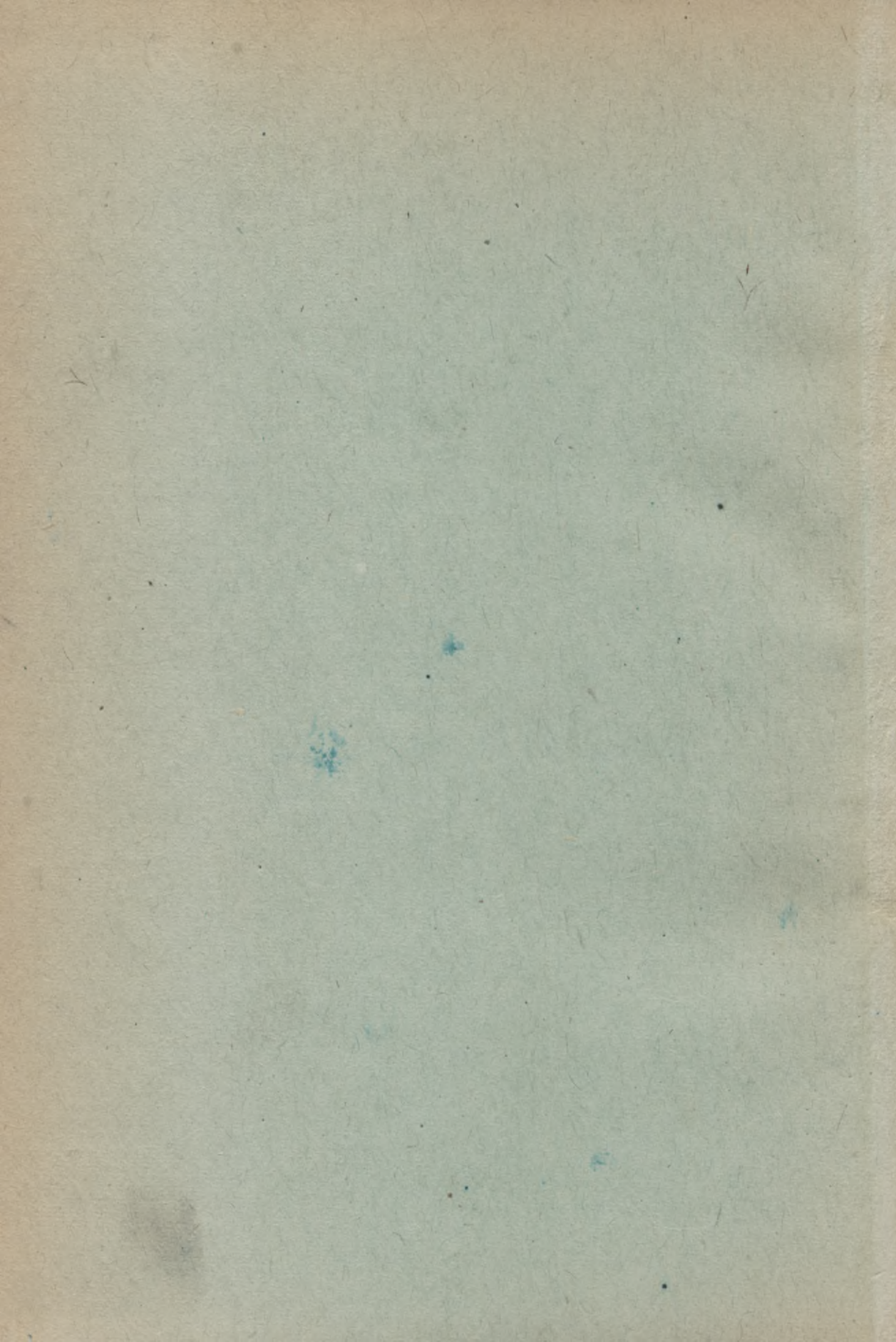
117

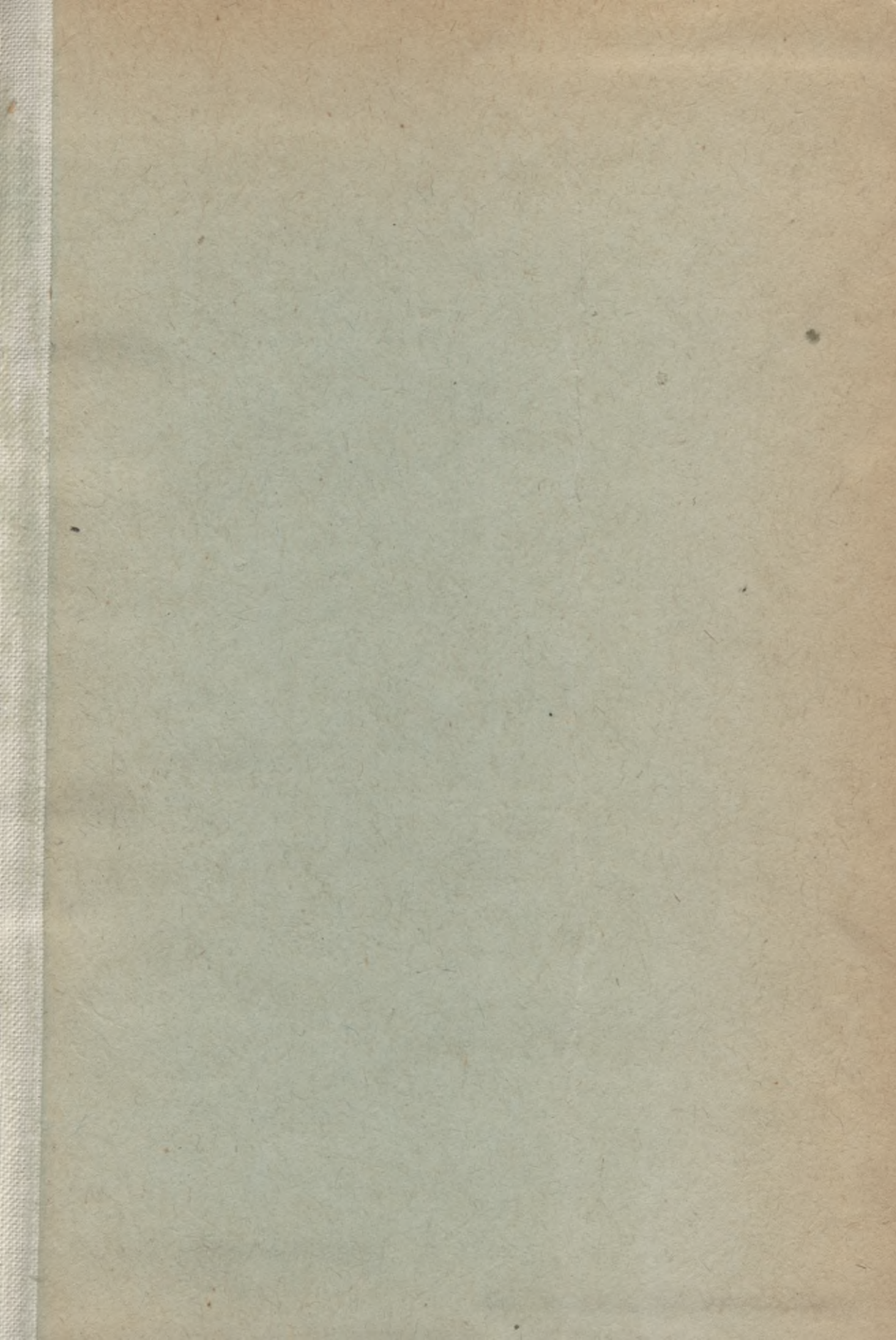
S - 96

S. 61



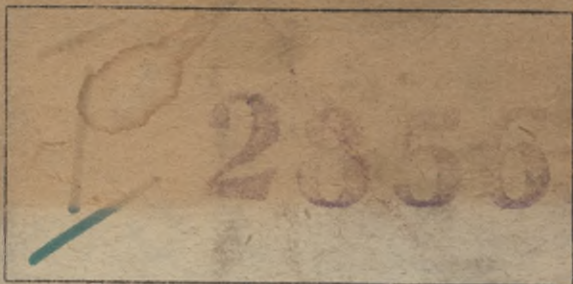








BIBLIOTEKA GŁÓWNA



PK 349/83 100 000 egz

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297698